

Biuletyn Z.W. PTTK w Łodzi

WIEŚNIARÓWNIKI

BIBLIOTEKA
Nr. 278
PTTK Łódź



ROK XXXIII

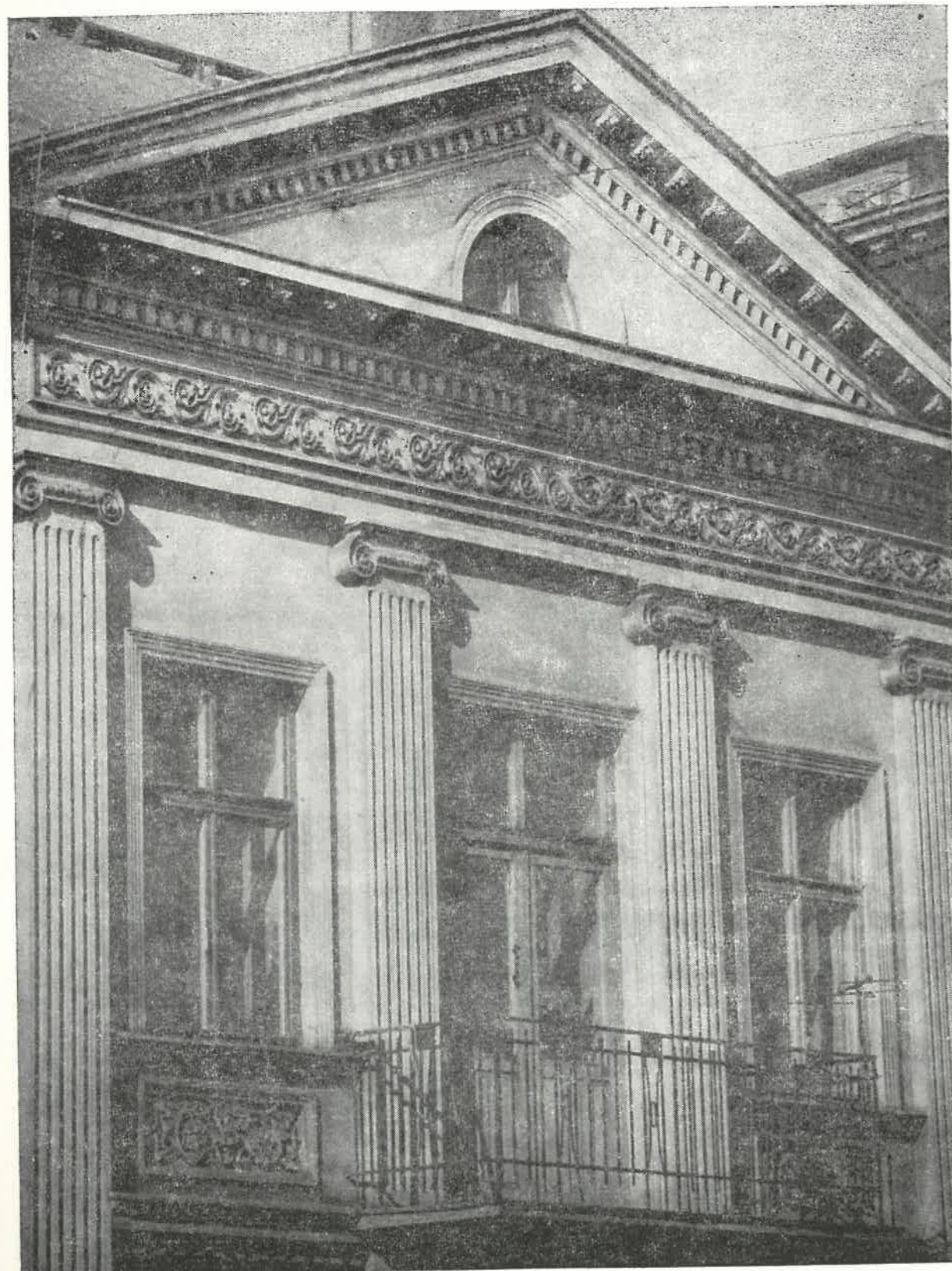
Maj — Czerwiec 1988

Nr III (315) 88



ULICA PIOTRKOWSKA

fot. Andrzej Wach



FRAGMENT FASADY NA „PIETRZYŃE”

fol. Andrzej Wach

	Str.
Jerzy Urbankiewicz — Ci z Piotrkowskiej — cz. 3 i 4	3
Zbigniew Piąstka — Józef Piłsudski w Łodzi . . .	6
Marek Budziarek — Łódź wielowyznaniowa — cz. I	11
Zbigniew Parafianowicz — Cichociemni na Ziemi Łódzkiej	14
Jan Waszczyński — Gimnazjum i Liceum im. Cecylii Waszczyńskiej	19
Stanisław Bulkiewicz — Po 49 latach tajemnicza opaska przemówiła	21
Zbigniew Parafianowicz — Przez lasy Nadleśnictwa Lubochnia	22
Zbigniew Lipowski — Dokąd dryfujesz, turystko szkolna?	24
Andrzej Tomczak — W łódzkim PTTK. Wspomnienia z lat 1952—58	27
Piotr Ciekliński — Moje wspomnienia z Tatr Słowackich sprzed 31 lat	31
Kronika Oddziałów PTTK w Łodzi	37
Odeszli od nas — Michał Druri	38
— Waław Krawczyk	39

☆ * ☆

BIULETYN PTTK „WĘDROWNIK” jest wspólnym organem Zarządu Wojewódzkiego, Oddziałów, Komisji, Klubów i Kół PTTK.

☆ * ☆

Wydaje Zarząd Wojewódzki PTTK w Łodzi

☆ * ☆

Adres Redakcji: ul. Wigury 12 a, 90-301 ŁÓDŹ,
tel. 36-43-70.

☆ * ☆

Redaguje Komitet w składzie: **Bohdan Bazyliński**, **Adam Chyżewski**, **Jacek K. Ciesielski** (Sekretarz Redakcji), **Zbigniew Lipowski**, **Maciej Mamiński**, **Leonard Matuszewski**, **Anna Pilarska** (Redaktor Naczelny) i **Stefan Zwierzyński** (Redaktor Techn.).

☆ * ☆

Numer zamknięto w październiku 1988 r.

DRODZY CZYTELNICY!

Niestety nie udało się nam uniknąć przykrej konieczności podniesienia ceny prenumeraty „Wędrownika”. Ceny usług poligraficznych wzrosły od czasu ustalenia poprzedniej kwoty prenumeraty już niemal dwukrotnie, zdrożały też opłaty pocztowe. Zmusza nas to do ustalenia nowej ceny rocznej prenumeraty „Wędrownika” na kwotę 900 zł za 1 komplet, począwszy od rocznika 1988.

Wierzmy, że nasi wierni i wyrozumiali Czytelnicy zechcą zrozumieć sytuację i (poprzez liczną prenumeratę) podtrzymają istnienie naszego czasopisma.

Ze swej strony obiecujemy dołożyć starań, aby „Wędrownik” ukazywał się w większej zgodzie z kalendarzem i aby był jak najciekawszy, najwartościowszy. Prosimy o listy z uwagami i propozycjami, które w miarę możliwości będziemy starali się spełniać.

Prenumeratę prosimy przekazywać bądź na konto bankowe Zarządu Wojewódzkiego PTTK w Powszechnym Banku Gospodarczym VI O/Łódź nr 344625-2176-132 (z podaniem swego dokładnego adresu i z zaznaczeniem okresu prenumeraty), bądź przekazem pocztowym na adres ZW, bądź w formie bezpośredniej wpłaty do kasy Zarządu Wojewódzkiego PTTK.

REDAKCJA

DRODZY AUTORZY!

Bardzo prosimy, aby nadsyłane artykuły były: po pierwsze — nigdzie dotychczas nie publikowane; po drugie — przepisane w 2 egz. maszynopisu z dowolną ilością wierszy na stronie, dowolnej wielkości marginesami; po trzecie — w miarę możliwości ilustrowane były czarno-białymi zdjęciami dowolnego formatu. Zdjęcia te po wykorzystaniu zwracamy Autorom.

Gorąco zachęcamy Czytelników do pisania i publikowania swych prac na naszych łamach. Szczególnie zależy nam na kontynuowaniu rozpoczętego cyklu „Sylwetki zasłużonych łodzian” oraz na przypomnieniu historii szkół łódzkich przed laty — tu zwracamy się z apelem do Wychowanków i Wychowanek licznych w Łodzi prywatnych gimnazjów, które miały wielkie znaczenie w dziejach łódzkiej oświaty, a o których pamięć szybko ginie.

Ci z Piotrkowskiej — cz. 3 i 4

3

Skoro mamy ratusz, zajmijmy się władzą. To też ludzie. Na próżno by szukać na planie Łodzi ulicy uwieczniającej nazwisko człowieka, który wprowadził w życie znaczną część planów uprzemysłowienia Łodzi, burmistrza Antoniego Czarkowskiego. To pod jego rządami powstał piękny, nie tylko w skali owych lat, budynek Ratusza. A wydarzenia tak się ułożyły, że przygotował siedzibę dla następców, a sam z niej nie skorzystał. I oto ledwie geometra de Viebig wbił pierwsze kołki wytyczające Nowe Miasto, już natykamy się na nie najpiękniejszą cechę tego miejsca... Miejsca? — nie, raczej ludzi to miejsce zamieszkujących. Znamy daty rozpoczęcia i zakończenia budowy Ratusza, darowizny i uruchomienia zegara, wznoszenia poszczególnych domów. Ale niewiele wiemy o człowieku, który zamysłem nadał kształt, który idee zawarte w planach uczynił rzeczywistością. Zaczniemy choćby od pytania, w jakich latach zasiadał Czarkowski na burmistrzowskim stolcu. Oto odpowiedź: J. Raciborski podaje w „Roczniku Łódzkim” (t. I s. 203), że w roku 1830 na pięttrze Ratusza znajdowało się „biuro burmistrza Czarkowskiego i jego mieszkanie”. A. Rynkowska uważa („Ulica Piotrkowska, s. 18), że Czarkowski został zwolniony w roku 1826, a urząd objął Karol Tangerman. H. S. Dinter („Dzieje wielkiej kariery”, s. 143) wpuszcza Tangermana do Ratusza dwa lata później. S. Lewicki („Kariery miasta Łodzi”, s. 300) umieszcza lata urzędowania Czarkowskiego w przedziale 1820—1830. W rzeczywistości został on zdjęty z urzędu, zgodnie z relacją A. Rynkowskiej, w roku 1826, bowiem już w styczniu następnego roku dokumenty miejskie (np. „Protokół Deklaracyjny”) podpisywane były przez Tangermana. Jeśli zaś idzie o rok objęcia urzędu przez Czarkowskiego, to wiadomo, że przed rokiem 1820, ale chyba nie da się tego dokładnie ustalić.

Wśród skąpych relacji o przeszłości pierwszego burmistrza przemysłowej Łodzi jest ta, że wcześniej pełnił funkcję zastępcy burmistrza w Ozorkowie, a jeszcze wcześniej nosił dystynkcje oficera 4 pułku Strzelców Konnych. Pułk ten zapisał się w dziejach wojen napoleońskich jako jeden z tych, które wykrawały się w kampanii rosyjskiej 1812 r. Zorganizował go pięć lat wcześniej znany dowódca jazdy polskiej, płk Kazimierz Turno. Pułk stoczył zwycięski bój pod Mirem w grodzieńszczyźnie, poniósł sławę walczącości Polaków dalej na wschód do Mohyłowa, pod Smoleńsk i Borodino. W sierpniu stoczył ciężką i wyniszczającą bitwę z rosyjską dywizją Niewiarowskiego, a potem topniał w odwrocie. I zapewne wówczas jakaś rana kazała Czarkowskiemu zostać na ojczyźnej ziemi. W czerwcu 1813 r. resztki jego pułku połączono z niedobitkami innych w 4 pułk Ułanów. Skoro więc macierzysty przestał istnieć, a nazwisko wojaka łączono z tym macierzystym, to widocznie i jego służba wtedy się skończyła.

Tak więc zręby Nowego Miasta i ulicy Piotrkowskiej pod jego okiem zostały wzniesione, a zapewne pracował z oddaniem, skoro Prezes Komisji Mazowieckiej, Rajmund Rembieliński, „wyraził burmistrzowi uznanie” za udzielenie pomocy przybywającym tkaczom („Rocznik Łódzki”, t. III s. 79). Czarkowskiemu zawdzięczamy powstanie unikalnego dokumentu obrazującego stan miasteczka przed uprzemysłowieniem. Dokument nazywa się „Opisanie Historyczne oraz Topograficzno-Statystyczne miasta Łodzi”, nosi datę 17 marca 1820 roku i na pewno nie budzi w mieszkańcach miasta uczucia dumy z przeszłości. Daje obraz miasteczka podłej i pokrzywdzonej. Akta dawnych przywilejów poginęły albo takiemu uległy zniszczeniu, że „ani roku, ani treści wyczytać niepodobna”. Inne informacje brzmią nie mniej żałośnie. „Domów drewnianych — 106”, „Domów wogóle — 106”. Dom szpitalny ekonomia Łaznowska właśnie odbiera na... szynk.

Więc rzewne to wszystko i politowania godne, ale przecież prawdziwe i przez osobę kompetentną opisane. A w mieście tak ubogim w dokumenty przeszłości — bezcenne. Nazwisko Czarkowskiego można znaleźć na liście królów kurkowskich, nie ograniczał się więc do spraw urzędowych, ale uczestniczył w życiu społecznym.

Dość wcześnie nad głową pierwszego burmistrza poczęły zbierać się chmury. Mgliście mówi się o przypisywanych Czarkowskiemu nadużyciach, skutkiem których został pozbawiony urzędu. Jedynym człowiekiem, który wie, co się stało, jest niejaki Otto Heike, pracownik Archiwum Miejskiego w czasie okupacji hitlerowskiej, autor książki „Aufbau und Entwicklung der Lodzer Textilindustrie”, próbującej dowieść, że to miasto stworzyli Niemcy. Na stronie 159 pisze on: „W trzy lata po rozpoczęciu się napływu Niemców dotychczasowy burmistrz Antoni Czarkowski złożony został z urzędu. Prowadził on sprawy miasteczka jeszcze w czasach rolniczych. Powodem jego usunięcia było sprzeniewierzenie pieniędzy publicznych oraz oszustwa wobec sukieników i tkaczy. 10 sierpnia 1826 roku został mianowany zastępcą burmistrza ówczesny ławnik magistratu Karol Tangerman, a w roku 1828 na tym urzędzie zatwierdzony”.

Nie zgadza się ta relacja Heikego z pochwałą Rembielińskiego, ani z faktem, że zasiedlanie miasta przebiegało sprawnie. Ale Heike zajmuje się w swojej książce tylko „niemieckimi burmistrzami”, więc przedstawienie Czarkowskiego jako złodzieja grosza publicznego jest mu na rękę. Zapewne było też na rękę Tangermanowi. Bowiem prawda jest taka, że z chwilą gdy nowo powstające miasto wyciągnęło się wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, burmistrzowi urzędującemu na Placu Kościelnym trudno było nadzorować wszystko, co działo się na czterech kilometrach świeżo świeżo wytyczonej ulicy. Wyznaczono wtedy tak zwanego „ławnika czynnego”, aby wyręczał burmistrza w południowej części miasta. Został nim... Karol Tangerman. Jeśli dodamy do tego, że dwaj ławnicy mający pomagać Czarkowskiemu, Nebelski i Suwalski, cieszyli się w miasteczku opinią pijaków, to łatwo zrekonstruować prawdopodobny plan wykończenia Czarkowskiego, aby posadzić na jego miejscu Niemca. Zresztą Nebelski i Suwalski niedługo korzystali z łask Tangermana, bo wkrótce się ich pozbył, a ich następcami zostali już Niemcy. Zapewne Czarkowski, polski kawalerzysta, a więc nosiciel najpiękniejszych tradycji walki o wolność, nie był sympatyczny ani dla rosyjskiego policmajstra, ani dla napływowych Niemców.

Kłopotami tymi zakończyła się jego burmistrzowska działalność, ale miał ich znacznie więcej, bowiem budowanie miasta na leśnej polanie nie należało do zadań ani łatwych, ani prostych. Jeden z powstałych wtedy konfliktów odnotowała G. Missalowa w swoich „Źródłach do historii klasy robotniczej okręgu łódzkiego” (Warszawa 1957, t. I s. 568). Warto go przypomnieć, a następnie porównać przedstawione tam zachowanie się Czarkowskiego z zachowaniem Tangermana w podobnej sytuacji. Tak więc nad rzeką Jasień budowano w roku 1824 zakład płócienniczy. Budowy podjęli się dwaj przedsiębiorcy rosyjscy, Iwanow i Jachozow, a do wykonania robót ziemnych wynajęli oni łódzkich czy podłódzkich chłopów. Umowa miała obowiązywać okrągły rok, przewidywała zaś wynagrodzenie częściowo w pieniądzu, częściowo w żywności. Ale przedsiębiorcom nie spieszyło się z wywiązywaniem się z zobowiązań, a robotnicy o głodzie pracować nie chcieli i nie mogli. Najpierw domagali się zapłaty, a kiedy to nie skutkowało, dwaj z nich, Marcin Szczęsny i Marcin Krywański, według relacji burmistrza Czarkowskiego „porywają się na majstra, ciskają za nim kamieniami, lżą najniegodziwszym sposobem (zapewne po rosyjsku — przypuszczenie J. U.), a nareszcie szukają okazji pobicia go, a nawet oni tylko dwaj położywszy dozorcę na ziemię najzwyczajniej (...) pobili”. Widocznie jednak Czarkowski przyznał im rację, bo należne pieniądze i produkty otrzymali.

4

Zgoła inaczej w podobnej sytuacji zachował się następca Czarkowskiego, Karol Tangerman. Mianowicie w roku 1828 czeladnicy krawieccy wystąpili ze skargami przeciwko swojemu majstrowi, Jakubowi Wagowskiemu. Jeden z nich, „skrzywdzony na ciele i sławie” (relacje przytoczył R. Kaczmarek w pracy „Bunty czeladzi miast fabrycznych” etc. na łamach Przeglądu Nauk Hist. i Społ. t. V. Łódź, 1955 s. 130) szukał sprawiedliwości u Tangermana. Ten najpierw próbował przekonać poszkodowanego, że majster, jak ojciec rodzony, ma prawo „łać”, a skoro czeladnik perswazji nie rozumiał, użył „środków przynaglających biciem onegoż batogiem”. Czładnik, twarda sztuka, nie zgadzał się na pojednanie z majstrem na zasadzie jednostronnych ustępstw, wtedy „skrępowawszy onegoż postronkiem do aresztu tak związanego osadził”. Inni czeladnicy wstawili się za kolegą, ale burmistrz pozostał nieugięty. Zażądali wtedy zwrotu paszportów, aby opuścić miasto. Na to Tan-

german posadził ich także, uznając taką solidarność za bunt. Rozumowanie ciemniejszy jest, okazuje się, zawsze jednakowe.

Za późno dziś snuć domysły, czy postępowanie takie wynikało z charakteru Tangermana, czy może decydował tu czynnik nacjonalizmu niemieckiego, wrogiego buntującym się Polakom. Burmistrz był raczej — według dzisiejszych pojęć — volksdeutschem. Urodził się bowiem w Budziszawiu, nieopodal Konina, uczęszczał do kaliskiego gimnazjum, stąd i język polski nie był mu obcy. Wspomniany Otto Heike malując Łódź jako twór niemieckiego geniuszu, wynosi Tangermana pod niebiosa, doczepiając do charakterystyki określenia o „perspektywicznym myśleniu” („grosser Weitblick”), dalekosiężnej wiedzy itp. W rzeczywistości na kadencje Tangermana przypadły trzy wydarzenia, z których dwa przysporzyły mu kłopotów i zostawiły na nim piętno lawiranta. To okres po Powstaniu Listopadowym i próbie wprowadzenia samorządu, jedno natomiast sprawiło, że jego nazwisko na liście administratorów Łodzi podkreślone zostało czerwoną kreską: przedzierzgnął się z burmistrza w prezydenta.

Jeśli idzie o Powstanie, to — jak pisze Anna Rynkowska („Ulica Piotrkowska”, s. 24) — burmistrz naradził się z Tytusem Kopischem, Janem Krystianem Rundzieherem i pastorem Fryderykiem Metznerem i postanowili bojkotować Powstanie, a symulować wobec niego lojalność. Udało im się to w znacznej mierze. Kopisch u schyłku Powstania dał wyraz swej lojalności, ale w stosunku do Rosjan. Mianowicie przekazał Dybiczowi wiadomości o sytuacji w Łodzi i oczywiście o „błagonadziejności” postawie Niemców. Dostał za to o 10 srebrników więcej niż Judasz. Pastor Metzner na wieść o wybuchu Powstania wołał z ambony: „Verflucht sei die Hand, die sich gegen der Kaiser aufhebt” — „Przeklęta nie będzie ręka, która się podnosi na cara!”. Trudniejsza była sytuacja burmistrza. Otrzymywał on rozkazy od władz powstańczych i symulacja nie na wiele się zdała. Raz musiał oficjalnie interweniować w obronie bliskich swemu sercu sukieników niemieckich. Mianowicie w wigilię Bożego Narodzenia 1830 r. wybuchły pożary w kilku polskich domach na Starym Mieście. Nazajutrz na podwórzu kościoła katolickiego zebrali się chłopcy i mieszczenie, uzbrojeni w piki i kosy osadzone na sztorc, i poszli na Rynek Nowomiejski w jednoznacznych zamiarach. Burmistrz kazał przerwać nabożeństwo, wyszedł do tłumu i udało mu się go uspokoić, broniąc Niemców przed zarzutami podpalenia.

Zapewne mieszkańcy Łodzi lepiej wiedzieli o jego postawie i poczynaniach niż my dzisiaj, bo został przez władze powstańcze usunięty z urzędu, ale po zakończeniu działań wojennych Rosjanie docenili jego prawdziwy stosunek do wydarzeń, bo mu godność burmistrza przywrócili.

Sporo prawdy o rzeczywistym stosunku Niemców do Powstania ujawniło się u jego schyłku. Kiedy wojskom Paskiewicza brakło pod Łowiczem żywności, Niemcy łódzcy mu jej dostarczyli w zamian za przyrzeczenie ochrony przed Polakami, jak przyjdzie do wyrównywania rachunków. Tangerman nie mógł o takich posunięciach nie wiedzieć, a może nawet uczestniczył w świadczeniu tych dowodów solidarności z zaborcą. Kiedy w lutym 1831 roku wojska rosyjskie przekroczyły granice Królestwa, Niemcy poczęli się szykować do rozprawy z ludnością polską. Ściągnięcie powstańczej jazdy ostudziło zapały, a Tytus Kopisch powiedział przezornie, że nie należy „dawać ognia za wcześniej, bo armia carska jest jeszcze zbyt daleko od Łodzi”.

Wydarzenie drugie, nadanie Łodzi w roku 1841 statusu miasta gubernialnego, wynikało wprost z faktu, że znacznie wzrosła liczba mieszkańców oraz terytorium miasta, co należało przecież zawdzięczać nie burmistrzowi, ale zabiegom polskiej administracji Królestwa. Zresztą również i Zgierz został wtedy podobnie uhonorowany. Jeżeli więc do tego czasu mówiło się o miasteczku Łodzi leżącym pod Zgierzem, to teraz nastąpiło zrównanie w godności. Przemiana miasta ze zwyczajnego w gubernialne, a burmistrza w prezydenta odbyło się uroczystie. W obu kościołach, to jest św. Trójcy obok Ratusza i katolickim na Starym Mieście, biły dzwony. Biły ciszej niż by to mogły robić przed Powstaniem, bowiem na żądanie władz powstańczych oba kościoły musiały oddać po jednym dzwonie na armaty. Ale po dwa pozostały i oto obwieszczały Rokiciu, Jagodnicy, Wólce i całemu światu, że dzieją się tak wielkie rzeczy. Przy dźwięku tych dzwonów dwaj policjanci, poprzędzani każdy przez trzech trębaczy, pojechali w dwie strony miasta i — z braku innych środków przekazu — ustnie podawali napotkanym przechodniom o zmianach. Komisarz Obwodu, niejaki Radwan, obwieścił treść stosownego aktu prawnego przed Ratuszem, tłumnie zaś zebrani łodzianie poszli wtedy z chorągwiemi cechowymi do dwóch kościołów i w dwóch językach oraz w dwóch obrządkach wzywali błogostawieństwa Bożego dla cara i jego rodziny za to, że nas tak uszczęśliwił. Magistrat upamiętnił te chwile nazywając jedną z ulic łódzkich Radwańską, na cześć

owego Komisarza Obwodu. Dziś nazywa się Świerczewskiego.

Miał Tangerman jeszcze jedną okazję powiązania swego nazwiska z czymś ważnym. Mianowicie w okresie Powstania mówiło się o wprowadzeniu samorządu „municipalnego”, z wyboru. Sprawa dojrzała na tyle, że w roku 1831 sporządzono nawet listę wyborców. Ale Tangerman, kto wie, czy nie ujawnił wtedy dominującej cechy charakteru — umieścił na liście wyłącznie swoich stronników. Wiele lat później opowiadało o pewnym chłopcu, który zdawał ojcu relację z wyborów prezesa samorządu klasowego. Wybory się nie udały, bo każdy uczeń dostał

Józef Piłsudski w Łodzi

Rok 1988 jest rokiem jubileuszowym — to już 70 lat kiedy po 123 latach niewoli, w wyniku nowego układu sił w Europie, powstałego w ostatnim roku wojny i wysiłków włożonych w jej trakcie, ze strony przede wszystkim dwóch wielkich Polaków Romana Dmowskiego i Józefa Piłsudskiego oraz ludzi z nimi związanych, Rzeczpospolita, zwana później Drugą, odzyskała niepodległość.

Po Powstaniu Styczniowym, w końcu ubiegłego wieku, kiedy u większości Polaków, ovladniętych marazmem niewoli, wybiecie się kraju na niepodległość było jeszcze wówczas mrzonką, u części zdawało się zalewie marzeniem, jedynie nieliczni w tej zbiorowości wazyli się przyjąć niepodległość Rzeczypospolitej jako cel życia, wymagający od nich ustawicznego czynu. Byli osamotnieni, choćby przytoczyć rok 1897, w którym Warszawa podejmowała z niebywałą świetnością, a chyba także wiarą Mikołaja II, i mówca polski bez protestów witał tego właśnie z Romanowych imieniem „całego narodu polskiego”.

Ówczesnych, na zewnątrz bezimiennych, związanych myślą i czynem na rzecz Niepodległej przedstawia Andrzej Strug (właściwie Tadeusz Gałeczki w cyklu opowiadań zatytułowanym „Ludzie podziemia”. Oto fragment jednego z opowiadań pt. „Nekrolog”: „Jutro bić będziesz arkusz po arkuszu i zakipi robota w tej naszej kuźnicy podziemnej. Pójdzie w ruch maszyna cicho, sprawnie — zaszeleści papier i z godziny na godzinę wciąż będzie dźwigać się ku górze stos zadrukowanych arkuszy... I pójdzie

po jednym głosie. Jan Adamowski, jeden z najbardziej rzutkich ówczesnych łodzian, miał nie tylko poczucie humoru, ale i zdrowy rozsądek, bo zorganizował opozycję i do wyborów w ogóle nie doszło. Wolał zapewne, aby raczej nie było żadnego samorządu niż pozorny, posłuszny prezydentowi. Trudno się jednak oprzeć przekonaniu, że Tangerman i tak był górą, rządził bowiem bez kontroli jakiegokolwiek rady.

Karol Tangerman zmarł w roku 1844. Jego miejsce w Ratuszu zajął Franciszek Traeger.

c.d.n.

Jerzy Urbankiewicz

twój numer w świat swoimi drogami zwykłymi. Rozchwytają go ludzie, hen, po polskiej ziemi i łzę nad tobą uronią, łzę, męską łzę, w której siła jest i przysięga... Pójdzie twój numer w świat szeroki, będą go podawali jedni drugim, wciąż dalej i dalej, aż z ręki zajdzie pomięty świstek do ludzi nowych, niedostępnych...”. Jednym z ludzi podziemia tamtych lat był Józef Piłsudski.

Był październik 1899 r., Józef Piłsudski wraz z dopiero co poślubioną żoną, Marią, przybył do Łodzi. Nie byli to zwykli przybysze, którzy przyjechali do ówczesnej „ziemi obiecanej” — za chlebem. Cel ich przyjazdu niewątpliwie wyjaśniała zawartość bagażu: ważąca około 7 pudów (1 pud = ok. 16,4 kg) ręczna maszyna drukarska systemu „Model — Press” popularnie zwana „bostonką”. Piłsudscy zjawili się w Łodzi, jako członkowie nielegalnej Polskiej Partii Socjalistycznej, z zamiarem założenia i prowadzenia tu tajnej drukarni.

Józef Piłsudski został członkiem PPS w styczniu 1893 r. Był to pierwszy miesiąc działalności partii w Królestwie, stronnictwa założonego w listopadzie roku poprzedniego na zjeździe programowym w Paryżu. Józef Piłsudski występujący w PPS pod pseudonimem „Wiktor”, na początku 1894 r. wszedł w skład jej (trzyosobowego) Centralnego Komitetu Robotniczego, a wkrótce, bo już jesienią tegoż roku stał się postacią numer jeden.

PPS jako pierwsze stronnictwo, po blisko 30 latach, wyznaczyło sobie za cel główny walkę o niepodległą, demokratyczną Rzeczpospolitą. Socjalizm jawił się wówczas jako idea **sprawle-**

dliwości społecznej hołdująca hasłom: równość, sprawiedliwość i wolność, a nie jako doktryna społeczno-polityczna, która przyjmowała by na pierwszym miejscu program walki klas i cele internacjonalistyczne (charakterystyczne dla SDKPiL). Tak ujmowany socjalizm stanowił kontynuację tradycji niepodległościowej, wywodzącej się z czasów kościuszkowskich, w myśl której wyzwolenie narodowe warunkowało sprawiedliwy ład społeczny, a obietnica owego ładu miała wyzwalać energię powstańczą jak najszerzych mas narodu. Nic zatem dziwnego, że PPS związała swą działalność z robotnikami, gdyż oni na przełomie stuleci byli najbardziej wyzyskiwaną, ale i zarazem najaktywniejszą grupą. Socjalizm stanowił ideę postępu w stosunku do kierunków zachowawczych, ugodowych, ale nie był jednoznaczny, w ujęciu dzisiejszym, z marksizmem.

W początkowych latach istnienia PPS Józef Piłsudski najwięcej energii poświęcił redagowaniu i drukowaniu, w głębokiej konspiracji, pisma partii — „Robotnik”. Był z nim związany od pierwszego numeru. Poza „Robotnikiem” PPS wydawało broszury i odezwy. Według słów Józefa Piłsudskiego: „Jeśli porównać je (organizacje konspiracyjne pod caratem) można do organizmu, to bibuła będzie w nich krwią, która organizm przy życiu utrzymuje”. „Robotnika” wydawano w kraju przez wiele lat, i co równie jest ważne, wydawano regularnie. Było to niezwykle zjawisko tamtych czasów, w których na ludzi podziemia i podziemia i tajne drukarnie żandarmeria carska organizowała prawie że ciągle, ostre polowania i to z nagonką złożoną z konfidentów. Szczególnie po ciosie zadanym w 1898 r. przez PPS ugodowcom, polegającym na opublikowaniu, zdobytych w sposób niezwykle, najtajniejszych dokumentów carskich obnażających prawdziwe intencje i cele polityki rosyjskiej w sprawach polskich. Mimo zmiennego składu kadrowego partii, w wyniku aresztowań, tajna jej drukarnia działała i to świadczyło o dobrej organizacji i sile PPS. Zrazu, przez kilka pierwszych miesięcy, wydawano „Robotnika” w tajnej drukarni w Lipniskach na Wileńszczyźnie. Maszynę drukarską sprowadzono z Londynu. Pierwszy numer „Robotnika”, w nakładzie 1,2 tys. egzemplarzy, ukazał się 12 lipca 1894 r., lecz z oficjalną datą czerwcową i miejscem wydania — oczywiście Warszawą. Jeszcze tegoż samego roku drukarnię przeniesiono do Wilna. Tu przy wydawaniu „bibuły” przez prawie cały okres wileński pomagał Piłsudskiemu, jako zecer, inny działacz PPS, Stanisław Wojciechowski, przyszły

prezydent Rzeczypospolitej (po około 30 latach, w pierwszym dniu przewrotu majowego, 12 maja 1926 r. będą oni stali po przeciwnych stronach, przeprowadzą dramatyczną rozmowę na moście Poniatowskiego). W Wilnie drukowano „Robotnika” przez 3 lata przestrzegając niezwykle rygorystycznie zasad konspiracji. Borykano się z poważnymi i ciągłymi kłopotami finansowymi. Józef Piłsudski od 1893 r. był jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi w Królestwie Polskim. Dość często zmieniał wygląd i dokumenty. Mimo grożącego w każdej chwili aresztowania, Józef Piłsudski podjął decyzję o założeniu rodziny, która z pewnością nie była łatwa, tym bardziej, że Piłsudscy nie mieli zamiaru zmniejszyć swojej aktywności konspiracyjnej.

W trzeciej dekadzie października 1899 r. przenieśli się, wraz z drukarnią, do Łodzi. Wynajęli, używając fałszywego nazwiska Dąbrowscy, mieszkanie oznaczone numerem kolejnym 4, na pierwszym piętrze w czterokondygnacyjnej kamienicy przy ulicy Wschodniej 19. I tam także urządzili drukarnię. Było to bez precedensu, bacząc na przestrzeganie zasad konspiracji: po raz pierwszy w historii wydawania „bibuły” drukarnię umieszczono na pierwszym piętrze. Powód: po prostu Józef Piłsudski nie znalazł w Łodzi odpowiedniego mieszkania na parterze. Mieszkanie przy Wschodniej, co było korzystne dla głównej funkcji jakie miało spełniać, znajdowało się nie nad mieszkaniem innego lokatora, lecz nad magazynem bawełny i pończoch. Składało się z czterech pokoi i kuchni. Gabinet-drukarnia był najbardziej na południe występującym pomieszczeniem mieszkania; z oknem balkonowym od strony ulicy. Pokój był wyposażony m.in.: w biurko redakcyjne, w którym przechowywano rękopisy i wydawnictwa niezbędne do redakcji; otomanę, w której chowano papier oraz szafkę składaną, w której, w górnej części, umieszczano maszynę drukarską, a w dolnych jej szufladach — czcionki. Czcionki te zaledwie starczały na złożenie dwóch stron petitem i szczęściu garmondem (zwykły druk). Maszyna drukarska miała wysokość dwóch trzecich metra, a szerokość jednej trzeciej. Ważyła ponad 7 i pół puda, przy czym jej część główna, wykonana z lanego żelaza, aż 3 pudy i 10 funtów (1 funt = od 350 do 560 g).

Wynajęcie dużego mieszkania stworzyło konieczność przyjęcia służącej, nie tylko z powodu kłopotów z utrzymaniem porządku, ale ze względu na sąsiadów, aby wyzbyć się z ich strony nadmiernej podejrzliwości, gdyż osobliwym wydawałoby się, aby zamożna rodzina mieszcząca-

ska, za jaką uchodzić mieli Dąbrowscy, nie miała służącej. Wkrótce po ich wprowadzeniu się, w kamienicy w oparciu o relacje stróżowej, że nowy lokator całymi dniami przesiaduje w domu, a wychodzi na noc i informacje służącej, iż na jego biurku są porozrzucane papiery i książki — uznano Józefa Piłsudskiego za adwokata.

Za drzwiami mieszkania pod czwórka, a właściwie za drzwiami gabinetu „pana domu” wykonywano, a jakże, pracę, i to od rana po bardzo późny wieczór, ale nie taką pracę o jakiej myśleli sąsiedzi. W tym nietypowym miejscu, jak na pomieszczenie tajnej drukarni, redagowano, składano i bito setki, tysiące egzemplarzy „Robotnika”. Robotę, od przygotowania do zamknięcia każdego numeru w okresie łódzkim, wykonywali Józef Piłsudski — odpowiedzialny za redakcję — i Kazimierz Rożnowski, pseudonim „Karol”, zecer partyjny, odpowiadający za skład. Właśnie Rożnowski po Wojciechowskim objął funkcję zecera jeszcze w Wilnie, przed przeniesieniem drukarni do Łodzi, pomagał Piłsudskiemu przy wydaniu 32 numeru „Robotnika”, ostatniego numeru składanego na Litwie. „Karol” mieszkał osobno. Na Wschodnią pod nr 19 przychodził codziennie rano. Usuwał ślady roboty dnia poprzedniego, aby gabinet mogła sprzątać służąca. Pracę zaczynali o godzinie dziewiątej. Przygotowanie do samego odbijania numeru polegało na zabijaniu stronicy w ramę, robieniu korekty. Dodatkową, wstępną, uciążliwą robotą było obcinanie zwykłym nożem papieru, gdyż zbyt długi arkusz musiał być dopasowany do formatu „Robotnika”. Pozostawały po tym spuchnięte ręce i pokaleczone palce. W celu zmniejszenia hałasu pracy przy drukowaniu wszystkie stykające się części maszyny oklejono gumą, rzemykami i sukniem. Sama robota odbijania egzemplarzy bywała wielokrotnie przerywana, a to z konieczności częstego oliwienia osi maszyny, aby zanadto nie huczała, czy smarowania talerza farbą co pięćdziesiąt egzemplarzy, czy też potrzeby dokonywania częstych napraw. O ile redagowanie było przypisane Józefowi Piłsudskiemu, a składanie Kazimierzowi Rożnowskiemu, to drukowanie należało do obojga. Gdy jeden z nich wykonywał podstawową swoją pracę, to drugi drukował. Robota przy maszynie (drukowanie) z powodów konspiracyjnych i technicznych była jednak najważniejsza, co ważyło na rozkład pracy nad każdym numerem „Robotnika”. Nieraz w trudnych chwilach, kiedy „bostonka” odmawiała im posłuszeństwa wpadali we wściekłość i po prostu wymyślali maszynie. Pracowali nad każdym nu-

merem pisma nieprzerwanie, od odbicia pierwszego egzemplarza po zamknięcie całości. Zwykle dwunastostronicowy numer drukowali przez 15 czy 16 dni, a dziennie robotę wykonywali przez 9, a czasami nawet 11 godzin. W okresie łódzkim odbijali 1900 egzemplarzy pisma.

W mieszkaniu Piłsudskich vel Dąbrowskich życie codzienne wydawało się jednak toczyć normalnie: posiłki, sprzątanie, krzątanie się gospodyni i służącej, praca pana domu w gabinecie. Prawie ciągła obecność służącej w domu zmuszała drukujących do zwiększonej czujności i ostrożności: nasłuchiwanie co się dzieje w sąsiednich pokojach, baczenia na pogłos pracy maszyny czy szelest przekładanego papieru. Dlatego też gospodarze skwapliwie przystawali na prośby służby o wolne wieczory. Już na wstępie, kiedy przyjmowali służącą zapowiedziano, że jej miejsce winno być w kuchni, iż „pan” nie lubi, gdy służba bez potrzeby wchodzi do „pańskich” pokoi. Gospodyni trzymała niejako straż nad bezpieczeństwem konspiratorów kiedy oni odbijali „bibułę”. Nuceniem dawała znać o obecności służącej w pokojach. Był to sygnał, aby drukowali ostrożniej, ciszej. Kiedy rano po usunięciu śladów wczorajszej roboty przez „Karola” służąca porządkowała gabinet, to gospodyni nie odstępowała jej na krok pod pozorem, że mąż nikomu poza nią nie pozwala dotykać papierów. Szczególnie kłopotliwe bywały sytuacje, kiedy odbity numer, właściwie 1900 jego egzemplarzy, należało wynieść z domu i przesłać w oznaczone miejsca. Gospodarze używali wówczas różnych wybiegów, aby na ten czas pozbyć się służącej z mieszkania bądź, żeby tak gospodyni zaabsorbowała ją własną osobą i pracą w kuchni, aby ta nie zauważyła wynoszonych z domu pakunków.

Dzień odbicia ostatniego egzemplarza numeru był cichym świętem: radość, ale i ona kontrolowana, lekkie podniecenie, kłopoty i zmęczenie jakby w tych godzinach zapomniane. Nie dawał jednak wówczas zapomnieć o sobie swoim twórcom, świeży farbą „Robotnik”: przeglądali numer po raz ostatni, ale po raz pierwszy oglądali go w całości, omawiali techniczne braki, aż w końcu fałcowali egzemplarze, układali je w walizce przedzielając nie zadrukowanymi arkuszami co 50 sztuk, aby ułatwić podział „bibuły” w punktach rozdziału. Jeszcze raz sprawdzali w notatkach ilości egzemplarzy jakie powinny być przekazane do poszczególnych miast. Lwia część, bo więcej niż jedna trzecia, była przeznaczona dla Warszawy, reszta głównie dla Łodzi, Zagłębia Dąbrowskiego i Wilna. Odczuwali niepokój

przed niepewną podróżą, w którą miał wyruszyć jeden z nich, aby dostarczyć „Robotnika” do jego stałych odbiorców. Gdy „bibuła” została ułożona i zapakowana, wychodzili z walizkami obaj, łapali dorożkę i kurier ruszał na dworzec, a drugi wracał do mieszkania.

W nocy z 21 na 22 lutego 1900 r., około godziny 3 nad ranem, żandarmi wkroczyli do mieszkania Piłsudskich. Ku własnemu zaskoczeniu znaleźli drukarnię i, co było równie dla nich ważne, Józefa Piłsudskiego. Zaraz jednak zdali sobie sprawę ze swojego sukcesu, gdyż ujęli poszukiwanego od 1893 r., przywódcę PPS, i równocześnie zlikwidowali działającą nieprzerwanie od prawie 6 lat nielegalną drukarnię „Robotni”, przypuszczając, że zadali tak wielki cios partii, iż zamilknie i już nigdy się ona nie podźwignie. Adres ustalili, śledząc jednego z działaczy PPS, Aleksandra Malinowskiego, pseudonim „Kazimierz”, który po wyjściu z mieszkania przy Wschodniej 19 został aresztowany, ale dopiero na dworcu. Rewizja trwała 10 godzin. W jej trakcie dzięki przytomności umysłu Marii Piłsudskiej, udało się ostrzec Kazimierza Rożnowskiego, a tym samym zapobiec dalszym aresztowaniom. Żandarmi znaleźli dziewięć odbitych, już stron 36 numeru i 4 strony dodatku do niego.

W ostatnim, łódzkim okresie pracy drukarni, prowadzonej przez Józefa Piłsudskiego wydano: numer 33 datowany 1 października 1899 r., numer 34 z datą 3 grudnia 1899 r., numer 35 datowany 31 grudnia 1899 r. i nie zakończony numer 36 z datą 25 lutego 1900 r. Faktyczne daty wydawania były inne, a jako miejsce druku, tak jak w okresie wileńskim, podawano na egzemplarzach Warszawę.

Wbrew przewidywaniom żandarmerii rosyjskiej PPS nie zamilkła, otrząsnęła się po ciosie i prawie natychmiast jej działacze zdecydowali, by jak najszybciej wydrukować w Londynie 36 numer „Robotnika”. Sprawę przejął w swoje ręce Stanisław Wojciechowski: kupił nową maszynę drukarską, on też został twórcą numeru. W dniu 20 kwietnia 36 numer „Robotnika” z datą o sześć dni późniejszą trafił do kraju. Zamierzano stworzyć przekonanie, że partia dysponuje jeszcze drugą nielegalną drukarnią w zaborze rosyjskim. Numer 37, ostatecznie, wydrukowano również w Londynie; numery kolejne natomiast w drukarni w Kijowie.

Kiedy w Londynie odbijano egzemplarze 36 numeru „Robotnika” Piłsudscy już od prawie 2 miesięcy znajdowali się w więzieniu. Marię zwolniono po kolejnych 9 miesiącach, natomiast Józef do 18 kwietnia przebywał w więzieniu w

Łodzi, przy ulicy Długiej, następnie przewieziono go do X Pawilonu Warszawskiej Cytadeli. Wcześniejsze starania o wypuszczenie „Wiktora” za kaucją nie przyniosły wyników, mimo, że w maju właśnie za kaucją zwolniono innego działacza PPS, Sachsa. Józef Piłsudski był zbyt cenną zdobyczą; przypisano mu rzeczywiste i nie popełnione czyny, zagrożono karą zesłania do lat 10. Świadom surowości oczekującego go wyroku postanowił za wszelką cenę uciec z więzienia. Za radą przyjaciół, aby osiągnąć cel, symulował przez kilka miesięcy obłąd. W grudniu 1900 r., jego wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem: przewieziono go do szpitala dla obłąkanych w Petersburgu. Stąd przy pomocy lekarza, należącego do PPS, udało mu się zbiec.

★ ★ ★

W 1920 r., nad wejściem do domu przy ulicy Wschodniej 19, wmurowano marmurową tablicę pamiątkową z wrytym nań napisem: „Tu mieszkał i został aresztowany 25.02.1900 r. przez służbę caratu Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w drukarni „Robotnika”. Tablica zawierała nieścisłość historyczną, gdyż przyjęto jako dzień aresztowania datę, którą sygnowany był, przejęty wówczas przez żandarmów, nie zakończony numer 36 „Robotnika”. Również w 1920 r., 23 października, Łódź ofiarowała Józefowi Piłsudskiemu honorowe obywatelstwo. Było to wydarzenie bez precedensu w międzywojennych dziejach grodu nad Łódką: nikt inny wtedy nie dostąpił tej godności. W historii miasta znane są dwa (może było ich więcej?) inne, ale zgoła wcześniejsze, bo z końca XIX w., przypadki ofiarowania honorowego obywatelstwa. Uzyskali wówczas tę godność Herman Konstadt i Izrael K. Poznański. W 1928 roku zmieniono nazwę ulicy Wschodniej na Piłsudskiego. W okresie międzywojennym, kiedy Ruda Pabianicka była odrębnym miastem, to i tam jedna z ulic nosiła imię Marszałka.

W latach 30-tych, szczególnie po śmierci Józefa Piłsudskiego, w Łodzi i okolicy kolejne miejsce połączono z Jego imieniem. Nadano wówczas imię Marszałka m.in. dwóm szkołom, do dziś istniejącym: powszechnej przy ul. Zagajnikowej (obecnie ul. Kopcińskiego) i gimnazjalnej przy ul. Sienkiewicza oraz Miejskiej Bibliotece Publicznej (1938 r.). W 1933 roku w Pabianicach przy kościele p.w. św. Mateusza wystawiono, według projektu Mieczysława Lubelskiego (autor pomnika T. Kościuszki w Łodzi — 1930 r.), pomnik Legionisty, na cokole którego umieszczono płaskorzeźbę przedstawiającą

Józefa Piłsudskiego jako Komendanta. Dwa lata później, w Zgierzu na Starym Rynku, odsłonięto obelisk z Jego popiersiem. Oba monumenty zniszczono w czasie wojny. W 1934 r. w Łodzi, rok przed śmiercią Marszałka, rozpoczęto budowę, ze składek społecznych, Domu-Pomnika ku jego czci przy ul. Strzeleckiej (obecnie ul. Traugutta), nazwanej tak od organizacji „Strzelca”, której współzałożycielem był Józef Piłsudski. Dom ten miał stać się siedzibą łódzkich organizacji społecznych i kulturalnych, z okręgowym Związkiem Strzeleckim na czele. Projekt budynku nie został nigdy w pełni zrealizowany: powstała część wschodnia (wysoka), natomiast nie wzniesiono części zachodniej (niska), która sięgać miała do ulicy Sienkiewicza.

Po wojnie, do końca lat 70-tych, już jako łódzki Dom Kultury, oglądaliśmy jego bryłę, licowaną czerwoną cegłą, nie zmienioną od 1939 roku. Późniejsza, niedawno zakończona, trwająca prawie aż 10 lat, rozbudowa w niewielkim stopniu zmieniła wygląd zewnętrzny gmachu: podwyższony został o jedno piętro, a ściany wyłożono płytami z piaskowca.

W drugiej połowie lat 30-tych zamierzano utworzyć Muzeum Józefa Piłsudskiego, poświęcone głównie jego pobytowi i działalności konspiracyjnej w Łodzi na przełomie wieków. Jako lokalizację brano pod uwagę mieszkanie przy ul. Wschodniej 19 (właściwie wtedy ul. Piłsudskiego), bądź wznoszony wówczas Dom-Pomnik przy ulicy Strzeleckiej. Jednym z podstawowych problemów, na które natknął się główny organizator muzeum, Eugeniusz Ajnenkiel, był brak pamiętek z owych pięciu miesięcy działalności późniejszego Marszałka. Bostonka tuż po aresztowaniu Józefa Piłsudskiego została wywieziona do Petersburga.

Tablicę pamiątkową na budynku przy dzisiejszej Wschodniej 19 zniszczyli Niemcy, prawdopodobnie na początku II wojny światowej. Wtedy także zmienili nazwę i tej ulicy; imię Józefa Piłsudskiego wymazali z planu miasta. Mimo odzyskania przez Polskę niepodległości i wyzwolenia Łodzi nie odtworzono tablicy pamiątkowej, jak i nie przywrócono ulicy imienia z lat międzywojennych, chociaż jeszcze w 1948 r. dwie inne ulice nosiły nazwy związane z postacią Marszałka: Legionów (obecnie ulica Zielona) i 6 Sierpnia (obecnie ulica 22 Lipca). Byłej ulicy Piłsudskiego natomiast nadano pierwotną, historyczną nazwę — Wschodnia, z czasu założenia osady sukienniczej Nowe Miasto (1823 r.).

W 1981 r. przy ulicy Wschodniej 19, w miejscu dawnej tablicy, przy czym wejście, nad któ-

rym się ona znajdowała zostało zamurowane, umieszczono nową, większą, spizowaną tablicę pamiątkową ku czci Józefa Piłsudskiego. Na tablicy poniżej wizerunku profilu Marszałka wykonano napis: „Józef Piłsudski zamieszkał w tym domu w 1899 r. Tu redagował i drukował organ PPS „Robotnik”. Aresztowany 21.02.1900 r. „Być zwyciężonym i nie ulec to zwycięstwo”.

W 1985 r., 12 maja, w rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego, w lewej nawie kościoła OO. Jezuitów w Łodzi, przy ul. Sienkiewicza wmurowano tablicę pamiątkową z szarego marmuru ku czci Marszałka. W roku bieżącym, w marcu, w dniu imienin Józefa, przy tymże kościele, w kaplicy p.w. św. Krzysztofa otworzono wystawę fotograficzną poświęconą jego osobie. Organizatorzy w trakcie dwutygodniowego trwania ekspozycji zbierali od zainteresowanych podpisy pod przygotowywaną petycją do władz miejskich o przywrócenie obecnej ulicy Wschodniej imienia z lat międzywojennych — Józefa Piłsudskiego. Zapomniano jednak o tym, że Wschodnia to jedna z pierwszych nazw ulic Łodzi jako osady fabrycznej (pocz. XIX w.), antenatki dzisiejszego miasta. Niewiele zmian łódzkich traktów tamtego czasu przetrwało do dzisiaj, m.in. Piotrkowska, Zachodnia, Północna, Ogrodowa, Wólczajska, Nawrot, Czerwona, Zielona, i dlatego winny one zostać zachowane. Imię Józefa Piłsudskiego powinno powrócić na plan miasta, przy czym na pewno nie w miejsce Wschodniej. Wydaje się, że mogłoby zastąpić jedną z nazw dzisiejszych ulic — Obrońców Stalingradu bądź 22 Lipca, i to z kilku względów. Po pierwsze, obie nazwy mają swoje niejako synonimy w miastach ulic w innych częściach miasta: Stalingradzka i P.K.W.N. Notabene Stalingradzka na Helenówku jest starszą nazwą, powstała tuż po wojnie, natomiast nim pojawiła się Obrońców Stalingradu, to jeszcze w 1948 r. ulica ta zwała się 11 Listopada. Po drugie, poprzednie miana tych ulic, 11 Listopada i 6 Sierpnia, przynajmniej w części związane są z postacią i czynem Józefa Piłsudskiego. W 1928 r., w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości, nim Wschodnią zmieniono na Józefa Piłsudskiego, starano się uprzednio nadać jego imię ulicy wówczas zwanej Konstantynowską (późniejszą, od 1928 r. 11 Listopada, a obecna Obrońców Stalingradu). Po trzecie, obie ulice znajdują się w centrum miasta, a imię Marszałka właśnie winno być nadane ulicy śródmiejskiej.

Może już niedługo nadejdą dni kiedy imię Józefa Piłsudskiego, który — według słów niepiłsudczyka, ba, zbliżonego do endencji, auto-

ra udanej reformy walutowej w 1924 r., Władysława Grąbskiego — „zdobył tę siłę moralną, by stać się Wodzem Naczelnym armii polskiej i Naczelnikiem Państwa”, ponownie i dłużej znajdować się będzie na planie miasta.

Zbigniew Piątko

BIBLIOGRAFIA:

1. Ajnenkiel Eugeniusz — „O mieszkaniu Józefa Piłsudskiego w Łodzi i pamiątki jego pracy”, Łódź 1936.
2. Feldman Wilhelm — „Dzieje polskiej myśli politycznej 1864—1914”, Warszawa 1933.

3. Garlicki Andrzej — „U źródeł obozu belwederskiego”, Warszawa 1983.
4. Edmund A. Jarzyński — „Tajemnice starych kamienic”, Łódź 1972.
5. Kozłowski Maciej — „Krajobrazy przed bitwą”, Kraków 1985.
6. Micewski Andrzej — „Polityka staje się historią”, Warszawa 1986.
7. Nałęcz Daria i Tomasz — „Józef Piłsudski — legendy i fakty”, Warszawa 1986.
8. Piłsudski Józef — Pisma zbiorowe, t. II, Warszawa 1937.
9. „Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków”, Antologia, Warszawa 1986.
10. Wilmański Jerzy — „Antykwariat przy Piotrkowskiej”, Łódź 1983.
11. Grabski Jan G. — „Idea Polski Władysława Grąbskiego” (w:) „Ład” nr 26 z 15.11.1987 r.
12. Pawlak Waclaw — „W rytmie fabrycznych syren”, „Łódź między wojnami”, Łódź 1984.
13. Prasa łódzka lat 20- i 30-tych.

Łódź wielowyznaniowa — cz. 1

Historia Łodzi ostatnich dwu stuleci to historia niepowtarzalna, nietypowa — przynajmniej na polskim gruncie. Zaledwie kilkadziesiąt lat wystarczyło, aby niewielka miścinka, rzucana gdzieś w połowie drogi pomiędzy Łęczycą a Piotrkowem Trybunalskim wyrosła na wielką metropolię przemysłową w skali europejskiej. Procesy kulturotwórcze dokonywały się na tym terenie w niezwykle szybkim tempie, ich korzenie były niezwykle wątle, a forma nad wyraz sztuczna. Nienaturalność tych procesów miała swe odbicie przede wszystkim w mentalności mieszkańców tego miasta. Ciągłe przenikanie różnych narodowości i wyznań tworzyło z Łodzi autentyczny tygiel światopoglądowy, formowany zwłaszcza względami ekonomicznymi. Sugestywny obraz tego zjawiska przedstawił Andrzej Wajda w swej filmowej wersji „Ziemi Obiecanej”. Szczególnie pierwsza scena budzącego się rano do życia potężnego molocha fabrycznego, kiedy to słyhać było swojskie tony śpiewanych „Godzinek”, w języku niemieckim odmawianego „Ojczy nasz”, czy wreszcie hebrajskie szacharit wymawiane w czasie monotonnego kołysania się postaci przykrytych tałasami. Trzy wielkie wyznania, dwie monoteistyczne religie znalazły na łódzkim gruncie możliwości swego istnienia i rozwoju. Oczywiście warunki zewnętrzne pozwa-

lały im, w większym lub mniejszym stopniu, na normalne funkcjonowanie. Zewnętrznym tego wyrazem były świątynie (nie zawsze wspaniałe pod względem architektonicznym), w których wierni oddawali cześć wielkiemu Bogu Ojcu — Jahwe.

W wielkim, rozwijającym się mieście dominowały trzy wielkie wyznania: katolicyzm, protestantyzm i mozaizm (przy czym w tym ostatnim wypadku powinno się mówić już o religii). O ile Żydzi niemalże w całości byli wyznawcami religii mojżeszowej, o tyle wśród katolików i protestantów podział wyznaniowy nie zawsze pokrywał się z narodowym. Także kwalifikacje wyznaniowe niekiedy kłóciły się z rozwarstwieniem społecznym. Na pewno ogromna część proletariatu łódzkiego była katolicka. Nie brakło wśród niego również Żydów, ale był to nieduży procent. Ci ostatni znacznie silniej reprezentowani byli wśród drobnomieszczaństwa, zdominowanego zresztą przez protestantów. Po upadku powstania styczniowego miejscowa inteligencja (pochodzenia polskiego i niemieckiego, a więc katolicy i protestanci) została w bardzo dużym stopniu zasilona Rosjanami (aparatury administracyjnej), będących niemalże w całości prawosławnymi. Wielką zaś burżuazję stanowili przede wszystkim protestanci i Żydzi. Oni też w dużym stopniu nadawali ton całemu miastu. Ale nie tylko. Liczny

katolicki proletariat miejski, niezwykle żywotny, tworzył bardzo wpływowy krąg oddziaływania społecznego. Wyrazem tego niech będzie prawie trzydziestoletnia budowa kościoła parafialnego p.w. Podwyższenia Świętego Krzyża Mimo ogromnych trudności społeczność katolicka nie poddawała się i twardo stała przy chęci dokończenia dzieła budowy. A trzeba pamiętać, że w tym samym mniej więcej czasie w ciągu niespełna czterech lat — przy wydatnej pomocy finansowej rządu carskiego — wybudowano cerkiew prawosławną p.w. św. Aleksandra Newskiego. W krótkim odstępie czasu luteranie wzniesli nowy zbór p.w. św. Jana i przebudowali na Nowym Rynku zbór Świętej Trójcy, zaś Żydzi w ciągu 6 lat pobudowali wspaniałą synagogę — drugą już w mieście — przy ulicy Spacerowej (dziś Aleja Kościuszki).

Na przełomie XIX i X w. w Łodzi zaczęły się pojawiać nowe grupy wyznaniowe. Miały one prewencjię protestancką i katolicką, ale nigdy nie osiągnęły poważniejszego zasięgu społecznego. Znaczna ich część przetrwała kolejne 50 lat historii naszego miasta i w różny sposób wpisała się w jego dzieje. Poznaniu ich doktryny, historii rozwoju i obecnego miejsca na mapie wyznaniowej służy poniższy cykl artykułów, pod wspólnym tytułem „Łódź wielowyznaniowa”. W układzie problemowym i chronologicznym zaprezentowane zostaną wszystkie wyznania chrześcijańskie oraz judaizm — działające na obszarze dzisiejszej Łodzi. W pierwszym wypadku materiał rozbito na cztery główne wyznania: katolicyzm rzymski, prawosławie, protestantyzm i starokatolicyzm. Omawiając protestantyzm szczególnie uwagę zwrócono na historyczne wyznania protestanckie oraz kierunki poreformacyjne. W starokatolicyzmie podkreślona zostanie specyfika typowo polskich grup wyznaniowych. Całość zamknie wywód dotyczący judaizmu, ze szczególnym uwzględnieniem tragicznej jego historii w najnowszej historii Łodzi.

A. CHRZEŚCIJAŃSTWO

Największa ze światowych religii monoteistycznych, zawdzięczająca swe powstanie eklezjotwórczej działalności Jezusa Chrystusa, postaci historycznej, mająca swe źródło teologiczne i historyczne w judaizmie. Źródłem doktryny chrześcijańskiej jest objawienie dokonane przez Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka i uformowane przez Dwunastu Apostołów w tradycji starożytnego Kościoła. Chrześcijaństwo posiada objawione prawdy i czyny zbawcze. Prawdy wiary

były od samego początku ujawnione w postaci formuł wiary, tekstów liturgicznych, wyznań wiary, katechez i hymnów. Najstarsze włączono w skład Biblii (tworząc Nowy Testament). Z czasem największa rola przypadła symbolom (credo) chrześcijańskim. Podstawa doktryny chrześcijańskiej uformowana została na starożytnych soborach (do VII w.). Przyjmuje istnienie osobowego Boga w Trójcy Świętej, który udziela się człowiekowi, a swoje centrum i najwyższe apogeum znajduje we wcieleniu i historii Jezusa z Nazaretu, Syna Maryi, który jest uciwłoczoną Synem Bożym, Słowem Bożym, Odkupiającym i Wkraczającym w całość doczesnego życia ludzkiego. Ludzie, którzy przyjęli tę naukę z wiarą, miłością i nadzieją, tworzą organizm społeczny zwany Ciałem Chrystusa, częścią Kościołem.

1. Katolicyzm rzymski

W wyniku XI w. Wielkiej Schizmy Wschodniej powstał Kościół związany z patriarchatem w Konstantynopolu (zwany prawosławnym lub ortodoksyjnym) i Kościół będący w łączności z Rzymem, nazwany katolickim (tj. powszechnym). W czasach reformacji XVI w., kiedy w łonie katolicyzmu zachodniego zrodził się ruch protestancki Kościół uznający zwierzchnictwo Rzymu określono mianem Kościoła rzymskiego (inaczej Kościół rzymskokatolicki).

Doktryna rzymskokatolicka odwołuje się do nauki Apostołów, zawartej w Nowym Testamencie, tradycji Kościoła apost. oraz dogmatycznych ustaleń wypracowanych na wszystkich soborach (aż po Sobór Watykański II). Przyjmuje Jezusa Chrystusa nie tylko za Mesjasza, ale również za Jednorodzonego Syna Bożego, który stawszy się człowiekiem (jednocześnie będący współistotny Bogu Ojcu, a więc samym Bogiem) narodzony z Maryi (za czasów rzymskiego cesarza Augusta, kiedy królem Judei był Herod), złożył Bogu jedyną i doskonałą ofiarę (poprzez swą śmierć i zmartwychwstanie) za zbawienie świata i w ten sposób zawarł nowe i wieczne przymierze pomiędzy Bogiem a ludzkością. W tym ujęciu życie chrześcijan jest odwzorowaniem historii Jezusa Chrystusa, łącznie z Jego zmartwychwstaniem, zmierzając stopniowo do pełnej łączności z Trójcą Świętą w wieczności. Biorąc pod uwagę ułomność człowieka skażonego grzechem pierworodnym, oraz skłonności jego do zła, chrześcijaństwo jest ujmowane, jako czynnik doskonalenia rozwoju osobowego na płaszczyźnie indywidualnej i społecznej. Ale uświęcenie i zbawienie człowieka dokonuje sam Chrystus, poprzez

obrzędy liturgiczne, które z woli Boga czynią człowieka niewidzialnym uczestnikiem życia Bożego, a które to dary Stwórcy zwiastuje się w sposób widzialny. Teologia katolicka obrzędy te nazywa sakramentami. W katolicyzmie rzymskim przyjmuje się istnienie 7 sakramentów św. (chrzest — czyniący z człowieka członka Kościoła Chrystusowego, bierzmowanie — wzmacniające jego wiarę, Eucharystię — wkorzeniającą w pełnym stopniu w Kościół, sakrament pojednania — przywracający łączność ze wspólnotą świętą, kapłaństwo — powołujące do przewodniczenia Kościołowi w jego drodze ku zbawieniu, małżeństwo — tworzące rodzinę, mały domowy Kościół oraz namaszczenie chorych — ukierunkowujące ku zbawieniu poprzez cierpienia i choroby).

Apostołowie, którzy otrzymali od Chrystusa wyjątkową misję głoszenia Dobrej Nowiny (ewangelii) wszystkim narodom, pozostawili po sobie następców, nazywanych biskupami i ich współpracowników: prezbiterów i diakonów. Wychodząc z założenia, że kolegium Apostołów pod przewodnictwem św. Piotra rezydującego w Rzymie, stanowiło najwyższą władzę w pierwotnym Kościele, teologowie rzymscy wysunuli wniosek, że również w następnych wiekach przejmujące po Apostołach sukcesję kolegium wszystkich biskupów pod przewodnictwem następcy Piotra, biskupa Rzymu, sprawuje najwyższą władzę w całym Kościele powszechnym.

W toku rozwoju historycznego, kiedy misja Kościoła Katolickiego zaczęła docierać do najdalszych zakątków świata, formowano obrzędy liturgiczne, dopracowywano ustrój hierarchiczny Kościoła, rozwijano doktrynę (szczególnie eklezjologię i mariologię). Na ziemiach polskich chrześcijaństwo zaczęło się pojawiać w IX w. Formalnie władca Polan, książę Mieszko Piastowicz, przyjął w 966 r. chrześcijaństwo z rąk biskupów zachodnich. Tym samym Polska weszła w krąg kultury zachodnioeuropejskiej i znajduje się w nim po dzień dzisiejszy. Na przestrzeni 10 wieków istnienia chrześcijaństwa polskiego wypracowano swój własny model funkcjonowania Kościoła lokalnego (stałe będącego w łączności z Rzymem), stworzono niezależną organizację terytorialną, specyficzne struktury, zaprezentowano chrześcijańskiej Europie nowe modele międzynarodowego i międzywyznaniowego współistnienia, a przede wszystkim stała i niezachwiana wierność Kościołowi rzymskiemu. Konsekwencją tych wszystkich działań oraz ukoronowaniem naszego rodzimego katolicyzmu jest

obecny pontyfikat polskiego papieża — Jana Pawła II.

Po raz pierwszy wieś Łódzia pojawiła się w dokumencie księcia łęczyckiego i dobrzyńskiego Władysława, z 1332 r., zaś w 90 lat później uzyskała od króla Władysława Jagiełły prawa miejskie (1423 r.). W tym też mniej więcej czasie erygowano parafię łódzką pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Najprawdopodobniej uczynił to arcybiskup gnieźnieński Jarosław Bogoria Skotnicki (1342—1371), natomiast fundatorem pierwszego kościoła był biskup włocławski Zbylut Gołańczewski (1364—1383), właściciel Łodzi. Do połowy XVIII w. Łódź, jako osada z prawami miejskimi, należała do klucza gospodarskiego biskupów włocławskich, choć pod względem organizacji kościelnej przynależna była do archidiecezji gnieźnieńskiej. Dochodziło do przetargów w tej dziedzinie między Gnieznem i Włocławkiem, by wreszcie dekretem Stolicy Apostolskiej z 3.08.1764 r. Łódź znalazła się w enklawie włocławskiej, będącej na terenie archidiecezji gnieźnieńskiej. Parafia łódzka mogła wtedy liczyć około 350 wiernych. W ramach reorganizacji diecezjalnej, przeprowadzonej w Królestwie Polskim w 1818 r., parafia łódzka weszła w skład nowo utworzonej archidiecezji warszawskiej. Stan ten trwał aż do 1920 r. Przez cały XIX w. następował stopniowy, ale niezwykle szybki wzrost liczby parafian (wzrost związany bezpośrednio z ogromnym powiększeniem liczby mieszkańców miasta, jaki datował się od połowy ubiegłego stulecia). W przeddzień I wojny światowej 6 parafii łódzkiego Kościoła rzymskokatolickiego grupowało ok. 270.000 wiernych. W Polsce niepodległej podniesiono rangę Kościoła w Łodzi. Bullą papieża Benedykta XV z 10.12.1920 r. „Christi Domini qui sese bonum pastorem” erygowano diecezję łódzką, a kościół parafialny p.w. św. Stanisława Kostki podniesiono do godności katedry. Od tej chwili datuje się niezwykle szybki wzrost placówek duszpasterskich, budowa licznych obiektów sakralnych, poważny wzrost liczby duchownych diecezjalnych i zakonnych. Mimo tragicznych lat okupacji hitlerowskiej (1939—1945) proces ten trwa do dnia dzisiejszego. Według najnowszych danych pochodzących z 1987 r., na terenie miasta istnieje 40 parafii z 34 kościołami parafialnymi i 47 kaplicami oraz kościołami filialnymi. Blisko 150 kapłanów duszpasterzuje wśród ponad 800.000 wiernych. Poza nimi w mieście przebywa ponad 130 zakonników i braci zakonnych oraz 550 zakonnice różnych zakonów i zgromadzeń zakonnych. Od 1986 r. łódzkim Kościo-

łem rzymskokatolickim pasterzuje biskup dr Władysław Ziółek (jako piąty z kolei ordynariusz łódzki), wraz z byłym ordynariuszem, biskupem seniorem ks. dr Józefem Rozwadowskim oraz trzema biskupami pomocniczymi: ks. dr Janem

W. Kulikiem, ks. prof. Bohdanem Bezje i ks. dr. Adamem Lepą (mianowanym w grudniu 1987 r.).

Marek Budziaruk

Cichociemni na Ziemi Łódzkiej

Przy opracowaniu artykułu korzystałem z następujących prac:

- Jędrzej Tucholski: „Cichociemni”, PAX, Warszawa 1984.
 Józef Garliński: „Politycy i żołnierze”, Londyn 1971.
 Stanisław Jankowski: „Z fałszywym ausweisem w prawdziwej Warszawie”, PIW, Warszawa 1980.
 Alfred Paczkowski: „Lekarz nie przyjmuje”, PAX, Warszawa 1981.
 Alfred Paczkowski: „Ankieta cichociemnego”, PAX, Warszawa 1984, 1987.
 Przemysław Bystrzycki: „Znak cichociemnych”, PIW, Warszawa 1983, 1985.
 Cezary Leżeński: „Dajcie im imię”, PAX, Warszawa 1985.
 Jan Szatnajder: „Cichociemni z Polski do Polski”, KAW, Wrocław 1985.

Cichociemni — spadochroniarze Armii Krajowej — to grupa Polaków, wyszkolonych w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, do indywidualnych działań w warunkach konspiracji w kraju. Spadochroniarze ci zostali zrzućeni na teren okupowanego kraju od 1941 r. z baz lotniczych w Anglii, a od 1944 r. z bazy we Włoszech. Żołnierze ci byli znakomicie wyszkoleni i wszechstronnie przygotowani do walki z okupantem niemieckim — byli to specjaliści w zakresie sabotażu, dywersji, wywiadu, łączności, lotnictwa, a także oficerowie przeznaczeni do pełnienia funkcji sztabowych i dowódczych w AK.

Od 1941 do 1944 roku zrzućono na teren okupowanego kraju 316 cichociemnych.

W artykule tym chcę przedstawić Czytelnikom zrzućy cichociemnych na obszar Ziemi Łódzkiej (Regionu Łódzkiego) — są to najczęściej spotykane określenia tej części Polski w dawnych granicach województwa łódzkiego. Opisy zrzućów cichociemnych na obszar Ziemi Łódzkiej przedstawiam następująco:

— daty zrzućów; — kryptonimy operacji lotniczych; — składy ekip; — miejsca zrzućów na placówki odbiorcze i ich ewentualne zlokalizowanie; — losy cichociemnych po wylądowaniu



(w przypadku podania, że zrzuć przejęła placówka odbiorcza — oznacza to, iż skoczkowie dostarli do punktów kontaktowych).

7/8 X 1941

Operacja lotnicza „Ruction”

Ekipa: kpt. Niemir Bidziński, ps. „Karol Ziege”, por. Jan Piwnik, ps. „Ponury” oraz kurier do Delegatury Rządu na Kraj: ppor. Napoleon Segiera, ps. „Wera”.

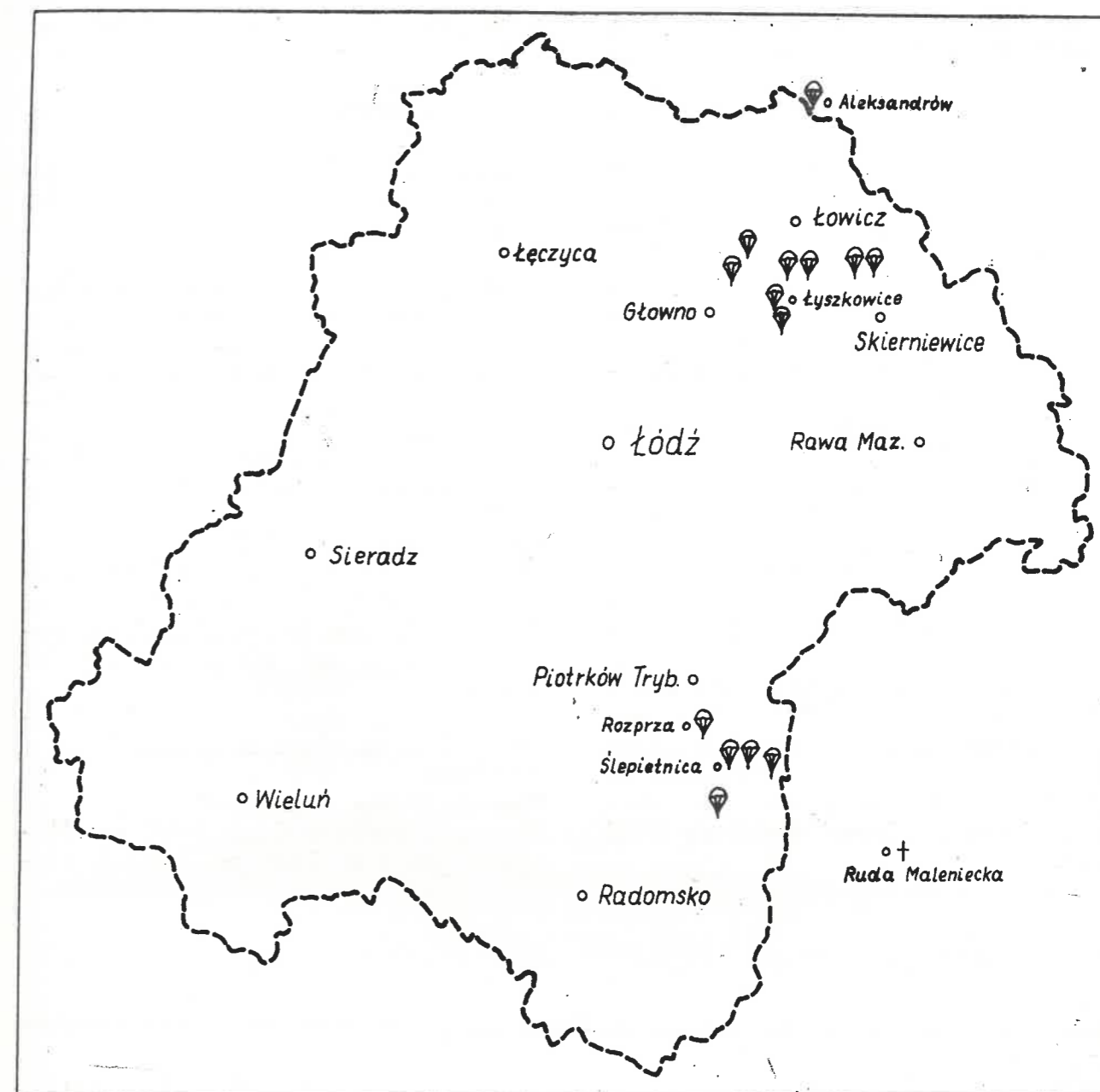
Był to pierwszy lot do kraju polskiej załogi. Zrzuć przyjęła placówka odbiorcza „Ugór” położona pod Łyszkowicami, ok. 20 km na zachód od Skierniewic.

27/28 XII 1941

Operacja lotnicza „Jacket”

Ekipa: rtm. Marian Jurecki „Orawa”, mjr dypl. Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz”, kpt. Alfred Paczkowski „Wania”, kpt. Andrzej Świątkowski „Amurat” oraz kurierzy do Delegatury Rządu na Kraj: ppor. Tadeusz Chciuk „Celt” i kpr. Wiktor Strzelecki „Buka”.

Zrzuć nastąpił o godzinie 2.30. Wskutek pomyłki pilota, zamiast w rejon Skierniewic, skoczkowie zostali zrzućeni o 22 km na północ od Łowicza



na wysokopienny las, położony między wsiami Aleksandrów i Załusków, przy szosie Sochaczew — Gąbin. Miejsce to było położone kilka kilometrów od granicy Generalnej Guberni, na terenie włączonym do Rzeszy. „Orawa” i „Kotwicz” zawiśli na drzewach. „Kotwicz” uwolnił się sam i ściągnął spadochron. „Orawa” uderzył o pień drzewa i stracił przytomność. Koledzy zdjęli go dopiero po długich poszukiwaniach. Nie udało się zdjąć z drzew dwóch spadochronów oraz worka z rzeczami osobistymi skoczków. „Orawa”, dowódca ekipy, podzielił ekipę na dwie grupy. Przy zaczepionych na drzewach spa-

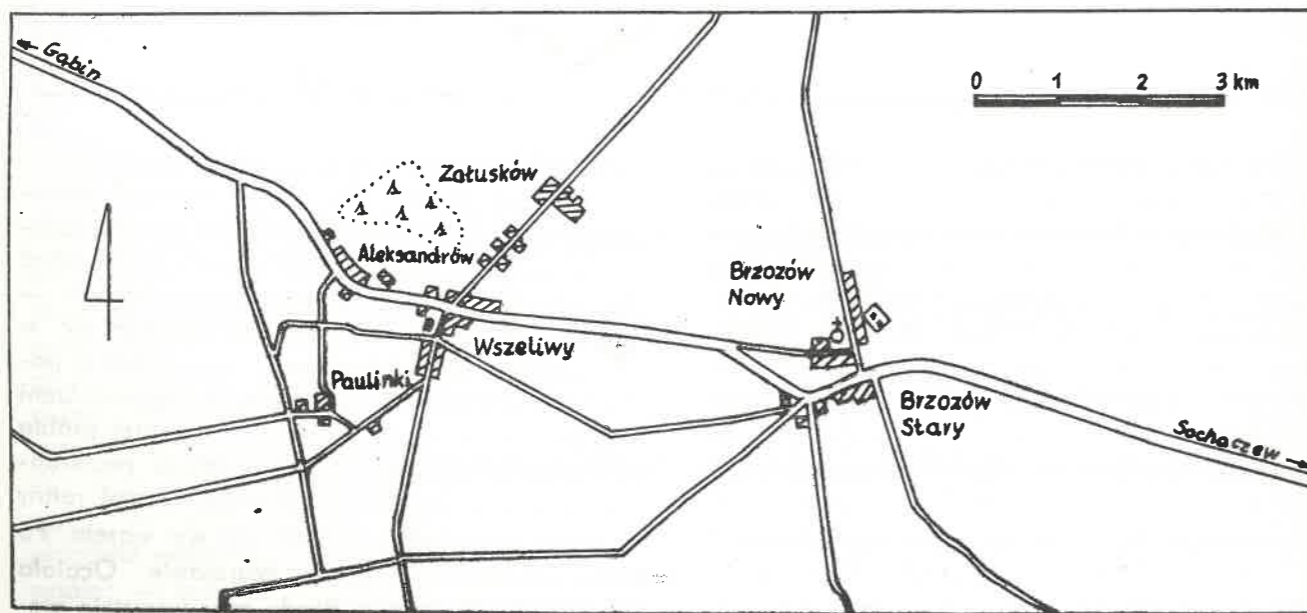
dochronach zostali „Orawa” i „Amurat”, natomiast „Wania”, „Kotwicz”, „Celt” i „Buka”, odeszli z miejsca zrzućy. „Orawa” polecił im udać się na punkt kontaktowy w Skierniewicach — skoczkowie byli przekonani, że znajdują się w tym rejonie. Po drodze zostali zatrzymani w polu przez patrol straży granicznej i doprowadzeni na posterunek we Wszeliwach. Tutaj przy próbie rewizji otworzyli ogień i wybili załogę posterunku. W czasie strzelaniny „Kotwicz” został ranny w rękę. Odjechali zabranym we wsi wozem. Po kilku dniach byli już w Warszawie. Ocalała poczta dla Delegatury Rządu oraz wszystkie pie-

niądze, które zabrali ze sobą odchodząc z miejsca zrzutu.

Tymczasem „Orawa” i „Amurat” udali się do pobliskich zabudowań po pomoc w zdjęciu spadochronów z drzew. Tutaj dowiedzieli się, że znajdują się na terenie Rzeszy. Postanowili opuścić miejsce zrzutu i przekroczyć granicę. Dotarli do Brzozowa Starego. We wsi zostali zatrzymani przez niemieckich celników. W czasie walki poległ „Orawa”, a ciężko ranny „Amurat” zastrzelił się. Pochowani zostali na miejscowym cmentarzu, gdzie znajduje się wydzielona kwatery wojenna. Brzozów Stary i Wszeliwy położone są w pobliżu dawnej granicy województwa łódzkiego. Na wspólnym grobie znajdują się tablice z napisami:

Kpt. art. Andrzej Leszek Świątkowski pseud. „Effendi”, ur. 16 I 1906 r. Kawaler Krzyża Virtuti Militari. Żołnierz AK. Skoczek spadochron. Poległ 29 XII 1941 r. Oraz 23 nieznanymi żołnierzami WP pol. we wrz. 1939 r.

Rotmistrz Marian Jurecki pseud. „Marian”. Kawaler Krzyża Virtuti Militari. Żołnierz AK. Skoczek spadochr. Poległ 29 XII 1941 r. Oraz 23 nieznanymi żołnierzami WP pol. we wrześniu 1939 r. Na tablicach omyłkowo wpisana data śmierci 29 XII 1941 — polegli oni 28 XII 1941 r. Pseudonimy Świątkowskiego „Effendi” i Jureckiego „Marian” są pseudonimami konspiracyjnymi po skoku do kraju. Na tablicy Jureckiego brakuje daty urodzenia — „Orawa” urodził się 10 VIII 1911 r.



8/9 IV 1942

Operacja lotnicza „Cravat”

Ekipa: por. Adam Boryczka „Brona”, kpt. dypl. Teodor Cetys „Wiking”, kpt. dypl. Henryk Kożuchowski „Hora”, kpt. dypl. Stefan Mich „Jeź”, por. Roman Romaszkan „Tatar”, por. Alfred Zawadzki „Kos”.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Łąka” położona 10 km na południowy zachód od Łowicza.

3/4 IX 1942

Operacja lotnicza „Rheumatism”

Ekipa: mjr dypl. Jan Lech „Granit”, kpt. Zygmunt Policiewicz „Świerk”, por. dypl. Stanisław Sędzia „Warta”, mjr dypl. Bartłomiej Wincenty Ściegienny „Las” oraz kurierzy do Delegatury Rządu na Kraj: kpr. Adam Cużytek i bom. Stanisław Stach.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Żaba” położona 12 km na północ od Łowicza.

3/4 IX 1942

Operacja lotnicza „Measles”

Ekipa: ppor. Jan Grycz „Dziadzio”, kpt. Julian Kozłowski „Cichy”, por. Wincenty Michalczewski „Mir”, por. Kazimierz Smólski „Sosna”, kpt. Wacław Zaorski „Ryba”, mjr Wiktor Zarębiński „Zręb”.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Żaba” położona 12 km na północ od Łowicza.

25/26 I 1943

Operacja lotnicza „Screwdriver”

Ekipa: por. Bronisław Grun „Szyb”, por. Mieczysław Kwarciański „Zint”, por. Władysław Mi-



MOGIŁA CICHOCIEMNYCH NA CMENTARZU W BRZozOWIE STARYM
fot. ze zbiorów Z. Parafianowicza

ciek „Młot”, kurier do Delegatury Rządu na Kraj ppor. Stanisław Łuczkiewicz „Sęp”.

Samolot leciał na placówkę odbiorczą „Krzak” położoną 16 km na południowy wschód od Łowicza. Zrzut nastąpił ok. 15 km na wschód od placówki. „Młot” zawisł na drzewie. Skoczkowie spotkali się dopiero na punkcie kontaktowym.

16/17 II 1943

Operacja lotnicza „Saw”

Ekipa: ppor. Michał Busłowicz „Bociek”, ppor.

Henryk Januszkiewicz „Spokojny”, ppor. Bolesław Odrowąż-Szukiewicz „Bystrzec”, ppor. Adolf Pilch „Góra”.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Koń” położona 21 km na południowy wschód od Piotrkowa Tryb., w widłach rzek Pilicy i Czarnej. „Bystrzec” zabił się przy skoku z powodu częściowo rozwiniętego spadochronu.

15/16 III 1943

Operacja lotnicza „Attic”

Ekipa: por. Jerzy Kowalski „Baba”, ppor. Ezechiel Łoś „Ikwa”, kurier do Delegatury Rządu na Kraj ppor. Roman Litwin.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Żaba” położona 12 km na południe od Łowicza.

14/15 IX 1943

Operacja lotnicza „Neon 10”

Ekipa: ppor. Ryszard Chmieloch „Błyskawica”, ppor. Józef Nowacki „Horyń”, ppor. Henryk Ostrowski „Smyk”.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Dywan” położona 14 km na południowy zachód od Łowicza.

18/19 X 1943

Operacja lotnicza „Oxygen 8”

Ekipa: ppor. Włodzimierz Klocek „Garłuch”, kpt. Michał Wilczewski „Uszka”, kurier do Delegatury Rządu na Kraj ppor. Franciszek Młynarz „Biegacz”.

Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Obrus” położona 14 km na południowy wschód od Łowicza.

8/9 IV 1944

Operacja lotnicza „Weller 6”

Ekipa: plut. Władysław Hauptman „Góra”, ppor. Kazimierz Niepla „Kawka”, ppor. Jerzy Sztrom „Pilnik”, ppor. Henryk Zachmost „Zorza”. Zrzut przyjęła placówka odbiorcza „Nil 1” położona 4 km na wschód od Rozpry.

10/11 V 1944

Operacja lotnicza „Weller 27”

Ekipa: ppor. Kazimierz Bernaczyk „Rango”, ppor. Jan Bienias „Osterba”, kpt. Bohdan Kwiatkowski „Lewar”, ppor. Zdzisław Straszyński „Meteor”, ppor. Zygmunt Ulm „Szybki” oraz kurier do Delegatury Rządu na Kraj ppor. Stanisław Niedbał-Mostwin „Bask”.

Samolot leciał na placówkę odbiorczą „Nil 2” położoną 19 km na południowy wschód od Piotrkowa Tryb. Oddział partyzancki „Burza”, który oczekiwał na odbiór zrzutu, stoczył 9 maja walkę z Niemcami pod wsią Żerechowa, w pobliżu placówki odbiorczej. Wieś Żerechowa położona jest ok. 6 km na południowy zachód od Lubienia. Następnego dnia Niemcy spacyfikowali Żerechową i placówka nie mogła tam czuwać. Wybrano więc nowe miejsce zrzutu pod wsią Ślepietnica, oddalona od placówki „Nil 2” o kilka kilometrów. Wieś Ślepietnica jest położona ok. 4 km na południowy zachód od Stobnicy. Zrzut udał się znakomicie.

16/17 X 1944

Ekipa licząca 12 skoczków odleciała dwoma samolotami. Kryptonim operacji lotniczej nie zachował się w dokumentach.

Skoczkowie: sierż. Władysław Flont „Grandziarzon”, ppor. Władysław Godzik „Skrzat”, kpt.

Teodor Hoffman „Bugaj”, płk dypl. Wacław Kobylański „Dziad”, mjr Mieczysław Pękała „Bosak”, rtm. Jan Różycki „Busik”.

Zrzut na placówkę odbiorczą „Newa” położoną 19 km na południowy wschód od Piotrkowa Tryb.

Kryptonim operacji lotniczej nie zachował się w dokumentach.

Skoczkowie: mjr Jerzy Emir-Hassan „Turek 2”, ppłk Leopold Krizar „Czeremosz”, kpr. Aleksander Makagonow „Wschód”, por. Bruno Nadolczak „Pias”, płk Roman Rudkowski „Rudy”, ppor. Stefan Przybylik „Gruch”.

Samolot leciał na placówkę odbiorczą „Ognicha” położoną 5 km na północny wschód od Janowa koło Częstochowy. Nie odnalazł jej i skierował się również nad „Newę”. Podczas skoku zabił się „Czeremosz”, który prawdopodobnie skakał jako ostatni. Zaplątany w taśmy na zewnątrz samolotu został odcięty przez nie wiedzącego o tym dyspeczera (ang. despatcher — członek obsługi samolotu, który daje znak do skoku). „Czeremosz” spadł z nierozwiniętym spadochronem ok. 40 km od placówki „Newa”, koło majątku Sokolów położonego około 5 km na wschód od Rudy Malanieckiej (poza granicą byłego województwa łódzkiego).

Czytelników zainteresowanych losami cichociemnych, którzy po wylądowaniu na Ziemi Łódzkiej dotarli do punktów kontaktowych, odsyłam do wymienionych na wstępie książek.

Na Ziemi Łódzkiej zginęli:

- po skoku: rtm. Marian Jurecki „Orawa”, kpt. Andrzej Świątkowski „Amurat”;
- w czasie skoku: ppor. Bolesław Odrowąż-Szukiewicz „Bystrzec”, ppłk Leopold Krizar „Czeremosz”.

Cześć ich pamięci!

Zbigniew Parafianowicz

Gimnazjum i Liceum im. C. Waszczyńskiej

Żeńskie Gimnazjum Humanistyczne im. Cecylii Waszczyńskiej powstało jako Szkoła Handlowa, którą założyła młoda Szwajcarka, Cecylia z domu Perret de Renan, urodzona 8 lipca 1851 r. w Chaux de Fonds koło Neuchatel. Po przybyciu do Polski wyszła za mąż za Aleksandra Waszczyńskiego, byłego studenta Szkoły Głównej w Warszawie i uczestnika Powstania Styczniowego, osiadłego w Łodzi i pracującego na stanowisku kierownika szkoły powszechnej. Po zamążpójściu Cecylia przeszła na katolicyzm (była kalwinką), doskonale opanowała język polski, zdała wymagane egzaminy kwalifikacyjne i w 1899 roku uzyskała zezwolenie na otwarcie żeńskiej szkoły handlowej w Łodzi. W tym też roku utworzono pierwszą klasę nowo otwartej

szkoły, która mieściła się przy ul. Solnej. W miarę rozwoju szkoły lokal przy ul. Solnej okazał się za ciasny i szkoła przeniosła się na ul. Zawadzka 9 (obecnie ul. Próchnika) zajmując cały budynek, wprawdzie obszerniejszy, ale niewygodny. Dlatego, po wybudowaniu przez Maurycego Majorowicza, zięcia Cecylii Waszczyńskiej, wspólnie z Aleksandrem Waszczyńskim trzypiętrowego gmachu przy ul. Zielonej 15, dostosowanego do potrzeb szkoły, Szkoła przeniosła się tam i w tym budynku pozostała aż do 1939 r.

W latach 1905—1919 kierownikiem Szkoły był P. Foerster, zaś po jego ustąpieniu kierownictwo objął wykładający matematykę syn Cecylii Waszczyńskiej, Witold, który sprawował tę funkcję aż do końca istnienia Szkoły.



CECYLIA WASZCZYŃSKA PODCZAS JUBILEUSZU 50-LECIA PRACY PEDAGOGICZNEJ
fot. z archiwum rodziny



WITOLD WASZCZYŃSKI — DLUGOLETNI DYREKTOR SZKOŁY
 fot. z archiwum rodziny

Za uczestnictwo w strajku szkolnym w 1905 r. Witold Waszczyński usunięty został z „wilczym biletem” z ostatniej klasy carskiego gimnazjum w Łodzi (obecnie Liceum im. Tadeusza Kościuszki). W związku z tym maturę zdawał jako ekstern w Krakowie, zaś studia matematyczne odbył na Uniwersytecie Jagiellońskim, a następnie w Zurychu.

Szkoła funkcjonowała, jako Żeńska Szkoła Handlowa, aż do 1926 r., kiedy przekształcona została w Żeńskie Gimnazjum Humanistyczne i uzyskała pełne prawa szkół państwowych. Zgodnie z ówczesnym systemem Gimnazjum było 8-klasowe, a nadto obejmowało trzy klasy przygotowawcze. Po zreformowaniu szkolnictwa (reformacja Jędrzejewicza) Szkoła składała się z trzech członów: 6-klasowej Szkoły Powszechnej, 4-klasowego Gimnazjum i 2-letniego Liceum Humanistycznego. Kierowniczką Szkoły Powszechnej była Genowefa Marczevska, zaś całością kierował dyrektor Witold Waszczyński.

Szkoła wyposażona była w pracownię: przyrodniczą, fizyczną, geograficzną i bibliotekę — obejmującą przede wszystkim lektury szkolne. Zajęcia z wychowania fizycznego odbywały się w sali, bądź (latem) w ogrodzie położonym o 100 m od Szkoły, między ulicami Wólczańską i Al. Kościuszki, gdzie obecnie mieści się budynek Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego. W

Szkole działał samorząd uczniowski, koło naukowe i koło Polskiego Czerwonego Krzyża. Chórem kierował Karol Prosnak, znany łódzki kompozytor. Ogólna ilość uczennic oscylowała między 250—300 osób. W okresie wiosennym Szkoła urządzała corocznie wycieczki. Klasy młodsze wyjeżdżały do Grotnik, a starsze — do Krakowa, Gdańska, Wilna i Lwowa.

Uczennice pochodziły w większości ze środowisk robotniczych, z rodzin tramwajarzy i kolejarzy. Szkołę cechował duch demokratyczny, wszystkie uczennice traktowane były najzupełniej jednakowo, niezależnie od zamożności, pochodzenia, wyznania i narodowości. Dzięki temu w Szkole panowała atmosfera wzajemnego zaufania w stosunkach nauczycieli i uczennic. W dużej mierze związane to było z niestrudzoną energią, prawością i serdecznością, z jaką do uczennic odnosiła się Cecylia Waszczyńska, która — będąc aż do śmierci Przełożoną Szkoły — niosła bardzo wysoko godność wychowawcy młodzieży. Kiedy w dniu 3 kwietnia 1934 r. zmarła w wieku 83 lat, pogrzeb Jej zgromadził tysiące wychowanków, nauczycieli i przyjaciół, którzy przez masowe uczestnictwo oddali hołd Jej pamięci. Po Jej śmierci Gimnazjum nazwano Jej imieniem.

Bezpośrednio przed wojną trzon zespołu nauczającego stanowiły następujące osoby: Witold Waszczyński (dyrektor), Izabella Rychter (z-ca dyrektora), Marta Gundlach, Zofia Pałkowska, Olga Kuehnowa, Aniela Rothowa, Maria Słowikowa, Jadwiga Wiessowa, Władysław Terlikowski, Genowefa Marczevska, Aniela Pycianka, Wanda Ulatowska, Romuald Witkowski. Religię wykładał ks. Antoni Woroniecki, późniejszy rektor Seminarium Duchownego w Łodzi. Uczennice nosiły mundurki oraz zielone berety ze złotym wyszyciem.

Kres istnieniu Szkoły położył niemiecki okupant zarządzając, jesienią 1939 r., zamknięcie wszystkich szkół średnich w Łodzi. W Szkole rozmieszczone zostały jednostki niemieckiego wojska. Dyrektor Witold Waszczyński zmarł w sierpniu 1940 r. w Patkowie koło Siedlec, w majątku swych dalekich powinowatych, dokąd skrył się wraz z rodziną przed wysiedleniem.

W ciągu blisko 50-letniego swego istnienia Gimnazjum i Liceum im. Cecylii Waszczyńskiej zapisało się na trwałe w dziejach Łodzi i w sercach jego wychowanków.

Jan Waszczyński

Z OKUPACYJNYCH ZAGADEK ŁODZI

Po 49 latach tajemnicza opaska przemówiła

Zwrócono się do mnie, jako do osoby interesującej się historią naszego miasta i jednocześnie pracownika Muzeum Historii Miasta Łodzi, z prośbą o pomoc w rozszyfrowaniu zagadki tajemniczej opaski na rękę, która znajdowała się w zbiorach niedawno zmarłego łódzianina. Sprawa była o tyle ciekawa, że opaska ta z dużą dozą prawdopodobieństwa miała mieć rzekomo związek z Łodzią. Opaska ta znormalizowanego formatu, z płótna koloru niebieskiego, nie posiadała żadnych napisów, lecz tylko zagadkowe, niezidentyfikowane cyfry arabskie i rzymskie (zob. fot.) składające się na liczbowy ułamek: 1914 XII/114 1939.

Podjąłem odpowiednie badania w tym kierunku i doszedłem do następującego wniosku:



fot. Bożena Kaczyńska

daty 1914 — 1939 wskazują, że opaska została wydana z okazji 25 lecia, ale czego? Rzymska liczba XII z zestawieniem lat 1914—1939 sugeruje nazwę miesiąca grudnia i to 1939 r. Czyli, że impreza ta została zorganizowana w Łodzi już po zajęciu miasta przez hitlerowców. A cóż to takiego stało się w grudniu 1914 r. w naszym mieście, że w 1939 r. postanowiono obchodzić 25-lecie tego wydarzenia? Z pewnością była to rzecz bez precedensu, warta by jej jubileusz — mający pewnie jakieś propagandowe znaczenie — był przez hitlerowców świętowany. Młodszym mieszkańcom naszego miasta warto

przypomnieć, że w początkach grudnia 1914 r. zakończyła się bitwa, pomiędzy armią rosyjską a niemiecką, o Łódź i 7 grudnia 1914 r. Niemcy ponownie zajęli nasze miasto, w którym panoszyli się aż do 1918 r. Historia ta powtórzyła się w 1939 r., kiedy to już 9 września Łódź została zajęta przez armię hitlerowską, potem miasto wcielono do Rzeszy i przemianowano na Litzmanstadt — od nazwiska generała Litzmana, „bohatera” I wojny światowej, „Lwa” spod Przeziń i Łodzi. Skoro oficjalne władze niemieckie pamiętały o wydarzeniach I wojny światowej nie mogli nie pamiętać o tych sprawach łódzkiej Niemcy. Myślę, że to oni zorganizowali imprezę (oczywiście mając poparcie władz), na której nosili w celach propagandowych oma-

wiane opaski. Moja hipoteza wymagała jednak potwierdzenia, a wystarczyło sprawdzić tylko gazety z tego okresu. Sprawą tą zainteresowałem kolegę, dra Cezarego Jabłońskiego, który akurat prowadzi okres okupacji w Dziale Historii MHML. Temat ten zaintrygował go, a ponieważ wybierał się akurat do Biblioteki im. Waryńskiego, obiecał sprawdzić moje przypuszczenia w rocznikach gazet okupacyjnych. Otóż po przejrzeniu zszywek gazet „Deutsche Lodzer Zeitung”, z przelomu listopada i grudnia 1939 r., znalazł tam artykuły, które potwierdziły moją hipotezę. W dniu 26 listopada 1939 r. na cmentarzu na

Dołach, przy grobach 248 żołnierzy poległych w bitwie pod Brzezunami, odbyła się wielka uroczystość związana z XXV-leciem wkroczenia Niemców do Łodzi, w której wzięli udział Wehrmacht i łódzcy volksdeutsche z opisywaną opaską. Kolumna ich musiała być duża, skoro wstrzymano aż ruch tramwajowy w pewnej części Łodzi. Podobne imprezy zorganizowano na starym cmentarzu poległych żołnierzy niemieckich na Starowej Górze, w Rudzie Pabianickiej, w Tomaszowie i innych miastach okręgu łódzkiego.

Na zakończenie warto jeszcze dodać, że rozszyfrowana łódzka opaska — symbol germańskiej buty — została zakupiona jako okupacyjny eksponat do Działu Historii MHML.

Stanisław Bulkiewicz

TRASA DLA CIEBIE

Przez lasy Nadleśnictwa Lubochnia

Trasa dla miłośników przyrody — prowadzi przez lasy zwane dawniej Puszcza Lubocheńską. Na trasie rezerwat leśny „Kruszewiec”, śródleśne jezioro Ług oraz pomniki przyrody.

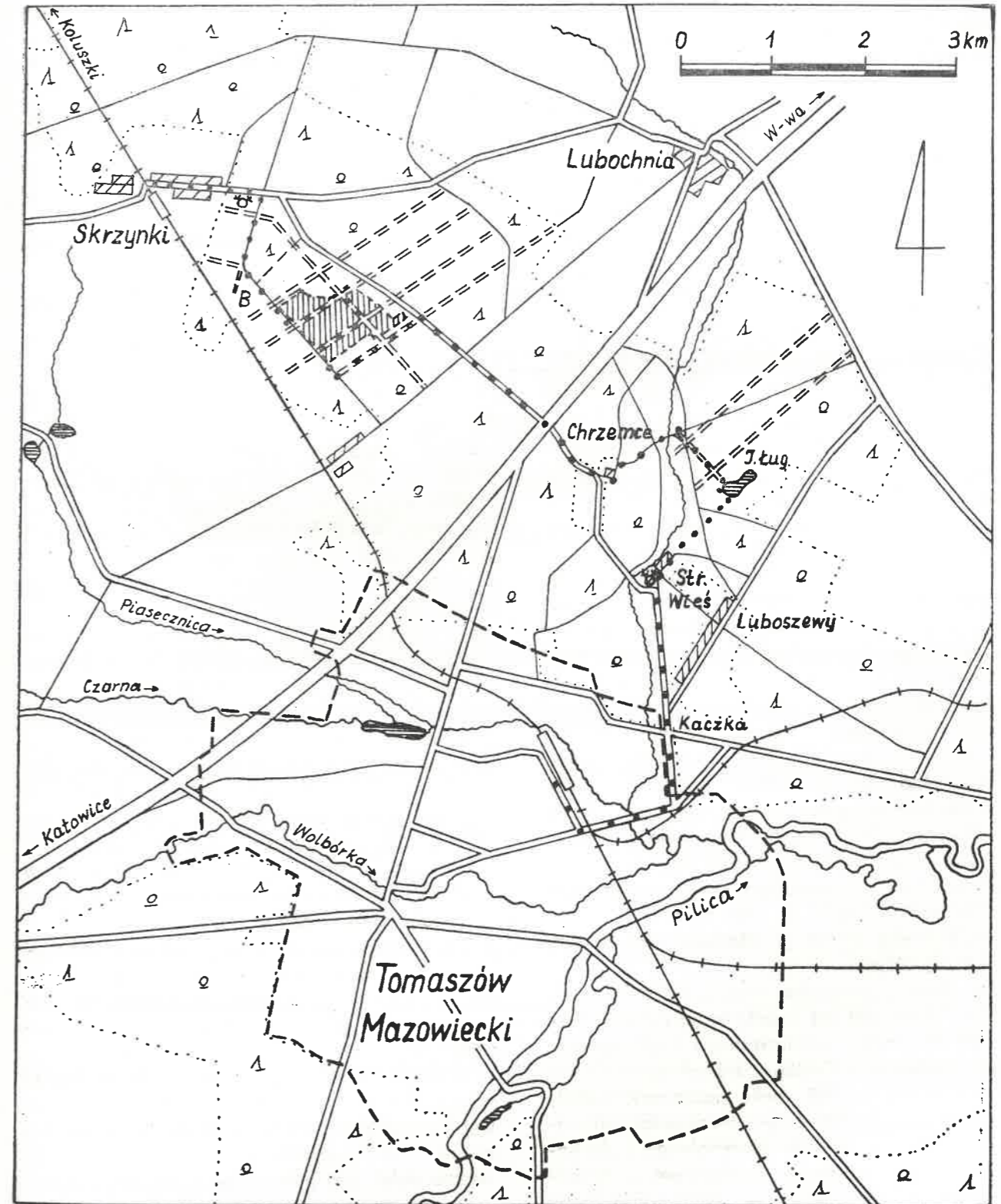
Przebieg wynoszącej około 17 km trasy jest następujący:

SKRZYNKI (PKP) — rezerwat „Kruszewiec” — gajówka Chrzemce — jezioro Ług — Stara Wieś — Kaczka — TOMASZÓW MAZ. (PKP)

Od stacji PKP w Skrzynkach (na linii Koluszki — Tomaszów) kierujemy się szosą prowadzącą początkowo wśród zabudowań wsi Skrzynki, a następnie przez las. Dochodzimy do leśnej drogi przecinającej szosę, z miejscem postoju z ławką po lewej. Skracamy w prawo. Leśna droga w dalszym jej biegu łagodnie skręca w lewo. Za skrzętem odbiega w prawo wyraźna ścieżka, którą można dojść do ruin poniemieckich bunkrów, rozrzuconych na małym obszarze w młodym lesie. Trasa prowadzi dalej tą samą drogą leśną. Dochodzimy do tablicy stojącej przy drodze, na granicy rezerwatu od strony północnej.

Rezerwat przyrody „Kruszewiec” utworzony został na powierzchni 50,5 ha dla ochrony fragmentu wielogatunkowego lasu liściastego z udziałem jodły, na granicy jej zasięgu. Wiek drzewostanu wynosi około 140 lat. W domieszce dąb, lipa i buk. Mijamy tablicę i idziemy dalej prosto. Lewa strona lasu jest granicą rezerwatu. Skracamy w lewo w pierwszy dukt za tablicą — idziemy przez środek rezerwatu wśród pięknych dębów i jodeł. Przy słupku 148, po lewej, skręcamy w prawo w dukt leśny, którym idziemy dalej przez rezerwat. Dochodzimy do pierwszego poprzecznego duktu, na którym skręcamy w prawo i idąc dalej przez rezerwat wracamy do naszej drogi leśnej. Tutaj skręcamy w lewo

i idąc dalej, skrajem rezerwatu, spotykamy drugą tablicę stojącą na granicy rezerwatu od strony południowej. Droga leśna doprowadza do drogi odchodzącej w lewo. Skracamy na tę drogę. Dochodzimy do asfaltowej drogi leśnej biegnącej od drogi Skrzynki — Lubochnia przez cały kompleks leśny. Skracamy na tę drogę w prawo. Dochodzimy do autostrady Warszawa — Katowice, przecinamy ją i idziemy asfaltową drogą w tym samym kierunku. W dalszym biegu droga skręca w prawo. My, utrzymując ten sam kierunek marszu, wchodzimy na leśną drogę. Po lewej mijamy ogrodzenie i zabudowania gajówki Chrzemce. Za gajówką droga skręca w lewo i staje się aleją dębową. Po obu stronach drogi rośnie 8 dębów o obwodach dochodzących do 3 metrów. Po przebyciu około 200 m przez aleję skręcamy na leśną drogę w prawo. Droga ta w dalszym jej biegu łagodnie skręca w lewo. Przez sosnowy las dochodzimy do rozstaju dróg na dużej polanie. Idziemy dalej drogą prowadzącą w naszym dotychczasowym kierunku. Droga ta doprowadza do brodu na rzeczce Lubocheńce i kładki po lewej. Rzeczka ta płynie od okolic Lubochni i wpada w Tomaszowie Maz. do Czarnej. Za rzeczką stajemy przed rozstajem dróg. Kierujemy się drogą w lewo. Po przejściu około 70 m skręcamy w prawo na szeroki dukt leśny. Idziemy wśród sosnowo-brzozowego lasu. Dukt lekko wznosi się w terenie. Przecinamy poprzeczną drogę. Dalej dukt nadal wznosi się w terenie, by po osiągnięciu kulminacji zacząć opadać. Przed nami ukazuje się śródleśne jezioro Ług. Obchodzimy je ścieżką z prawej strony, następnie wysokim brzegiem do miejsca, gdzie do jeziora dochodzi wybetonowany kanał. Tutaj skręcamy w prawo na leśną drogę, która



w tym miejscu dochodzi do jeziora. Droga ta prowadzi w kierunku południowo-zachodnim. Przecinamy poprzeczną drogę i utrzymując ten sam kierunek marszu dochodzimy do następnej poprzecznej drogi — bardzo szerokiej, prowadzącej w lewo do Luboszew. Przecinamy ją i idziemy dalej w tym samym kierunku. Osiągamy szeroką dolinę, gdzie po prawej stronie wśród łąk płynie Lubochenka. Widoczne są nadrzeczne wydmy. Droga łagodnym łukiem skręca w lewo i przez las doprowadza do Starej Wsi (obecnie Luboszewy), położonej na wzniesieniu nad Lubochenką. Przez wieś dochodzimy do położonej po prawej stronie leśniczówki „Lubosze-

wy”. Budynek leśniczówki z czerwonej cegły z datą 1894. Drogą biegnącą obok przydrożnej figury, stojącej na wzniesieniu po prawej stronie, dochodzimy do asfaltowej drogi, która doprowadza do Kaczki — przedmieścia Tomaszowa Mazowieckiego.

Kaczka — dawniej osada młynarska położona nad rzeczką Lubochenką. Istniała już przed I najazdem szwedzkim, przyłączono została do Tomaszowa w 1949 r. Ulicami: Luboszewską, Zubrzyckiego i Dworcową dochodzimy do dworców PKP i PKS w Tomaszowie Mazowieckim.

Zbigniew Parafianowicz

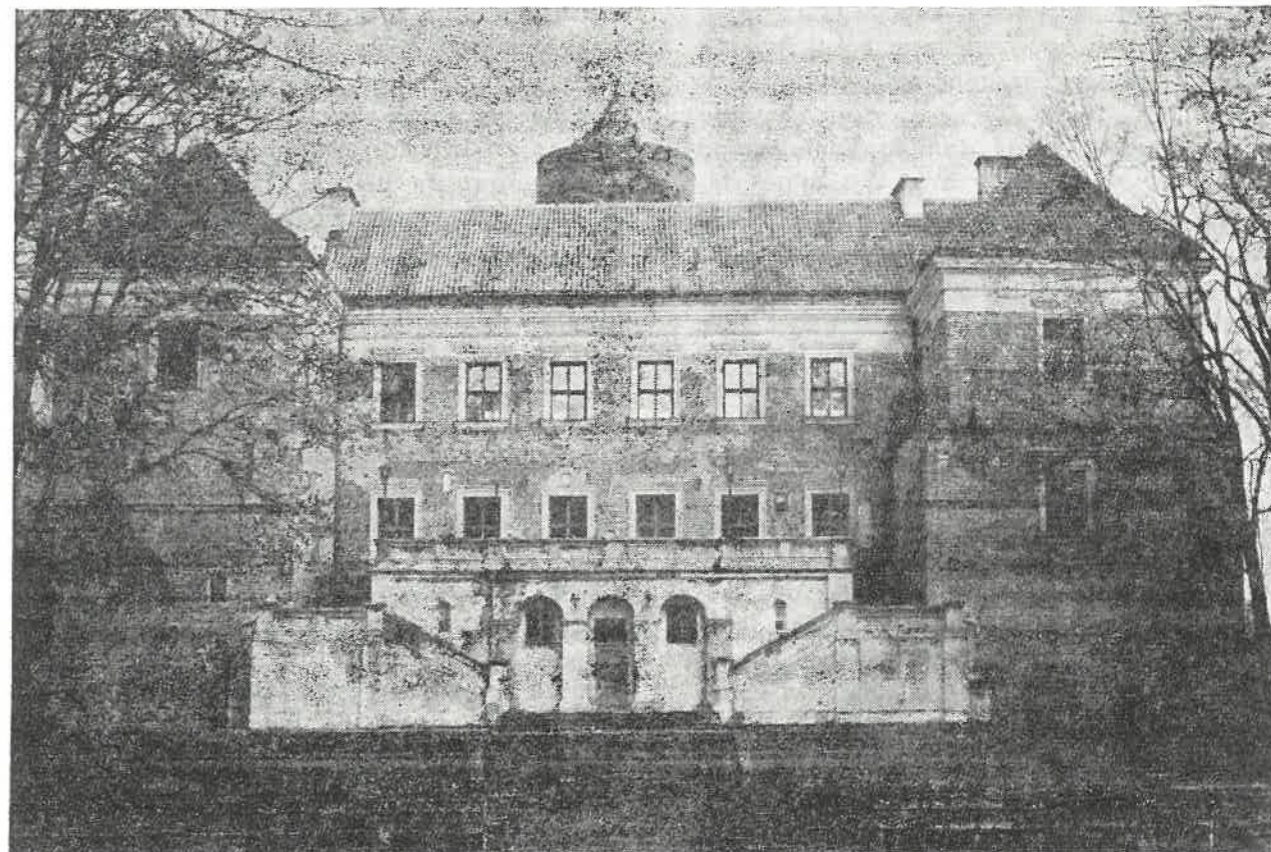
Dokąd dryfujesz, szkolna turystyko?

Kto wie, czy o turystyce szkolnej nie powiedziano i nie napisano do tej pory w naszym kraju więcej niż o turystyce w ogóle. Jej zastosowanie w placówkach oświatowych widzą nie tylko praktycy, ale i teoretycy, nie tylko wychowawcy, ale i dydaktycy. Coraz częściej słyszy się o propagowaniu jej w profilaktyce wychowawczej, terapii pedagogicznej, psychoterapii, a więc i w pedagogice specjalnej. Uprawiają ją w Polsce nie tylko placówki świeckie czy Kościół, ale i inne stowarzyszenia religijne. W każdym przypadku chodzi o skuteczne oddziaływanie na sferę poznawczą, emocjonalną i moralną uczestnika, o jego zdrowie i relaks. Zawsze też istotnym elementem każdej turystyki jest czas i środki. W kontekście czasu jest to przede wszystkim problem posiadania go, nawyków właściwego spożytkowania, racjonalnego nim gospodarowania. A środki? Środki — albo są albo ich brak i wtedy trzeba umieć je zdobywać. Ale o tym przy innej okazji.

Specyfiką i szczególną treścią turystyki szkolnej w Polsce jest jej aspekt krajoznawczy. Bierze on początek z patriotycznego i politycznego nurtu wychowania Polaków, których coraz to nowe pokolenia, od XIX wieku począwszy, szukały i wracały do źródeł swojej tożsamości kulturowej, a więc do dorobku materialnego i duchowego swoich przodków. Tam bowiem — w odróżnieniu od pozostałych sfer życia codziennego — ocalały i funkcjonowały mity i wartości podtrzymujące świadomość narodową. Wyrosło więc krajoznawstwo polskie z liturgii wiary i nadziei w przyszłość. Jego misjonarzami była patriotycz-

na inteligencja trzech zaborów, skupiająca się przede wszystkim w dużych ośrodkach miejskich (przede wszystkim w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu). Nie przez przypadek w tych środowiskach powstały pierwsze organizacje turystyczne i krajoznawcze, Towarzystwo Tatrzańskie jeszcze w XIX wieku czy Polskie Towarzystwo Krajoznawcze u progu wieku XX. I nie przypadkowo znajdowali się tam (zwłaszcza w PTK) przede wszystkim nauczyciele, uczeni i żarliwi działacze społeczni. Ich dorobek nie poszedł na marne, co udowodniło odrodzenie się organizacji turystycznych po I i po II wojnie światowej. Realia Polski Ludowej spowodowały w końcu powołanie w 1950 roku jednej organizacji turystycznej — PTTK — nastawionej na turystykę mas. Upowszechniło to idee krajoznawstwa nie tylko w szkołach, ale także na uczelniach, w środowiskach robotniczych czy wreszcie na wsi. Mimo, iż krajoznawstwo w latach 50 i 60-tych wykorzystywano, z powodzeniem, w pracy ideowo-politycznej różnych organizacji młodzieżowych, turystyka polska pozostała pluralistyczna. Kameeralna, niemal elitarna wegetuje dzisiaj turystyka w szkołach. Wynika to zarówno z uwarunkowań natury ogólnej, jak i szczupłej bazy osobowej nauczycieli-entuzjastów, doświadczonych turystów i pedagogów-krajoznawców. Co zatem będzie dalej, jaki jest jej los, jaka przyszłość?

Na odbytej w dniach 20—24 kwietnia 1988 r. w Uniejowie ogólnopolskiej konferencji metodyków turystyki szkolnej i ogólnopolskim sejmiku turystycznym, poświęconym krajoznawczej edukacji młodzieży, słyszało się w oficjalnych wystą-



TU OBRADOWAŁ SEJMIK „KRAJOZNAWCZA EDUKACJA MŁODZIEŻY”

fol. Grzegorz Jastrzębowski

peniach i w kuluarowych rozmowach terminy takie jak, impas, kryzys czy nawet upadek. Brak środków, szczupła kadra, a przede wszystkim niejasności w unormowaniach prawnych dotyczących organizacji turystyki szkolnej, czasu pracy i wynagradzania nauczycieli z tytułu kierownictwa i uczestnictwa w imprezach — wszystko to — zdaniem większości mówców — składa się na istniejący stan rzeczy. Coraz mniej nauczycieli wyposażonych jest w rzetelną wiedzę krajoznawczą i praktyczne umiejętności organizatorskie, w coraz mniejszym stopniu szkoła wykorzystuje doświadczenia i wiedzę metodyków oraz wyspecjalizowanych organizacji turystycznych. W modelu czasu wolnego dominuje więc dyskoteka, czasem sport, sporadycznie zajęcia w placówkach pozaszkolnych: telewizja, video czy komputer. I tak jak dla ucznia kontakt z lekturą szkolną jest złem koniecznym, tak dla nauczyciela, nierzadko wychowawcy klasy, geografa, polonisty czy historyka, wyjście poza budynek szkoły — wyjście do kina, teatru, na wystawę czy do muzeum — kojarzy się z ryzykiem, rozbiciem rytmu pracy, wydłużeniem jego czasu. A co dopiero kilkudniowa wycieczka, która wyma-

ga merytorycznego przygotowania, odpowiedniego stroju i wyposażenia, kondycji i dodatkowych środków. Czy jest to zatem obiektywna zmiana modelu kultury na „konsumpcyjny” czy raczej brak odpowiednich warunków i modeli alternatywnych do zaproponowania młodzieży? Takich retorycznych pytań padało w Uniejowie więcej.

Istnieje w polskiej oświacie system doskonalenia i doksztalcania nauczycieli poprzez różnego rodzaju kursy, studia przedmiotowo-metodyczne czy specjalistyczne, odczyty, seminaria, konferencje i konserwatoria. Zajmują się tym terenowe Oddziały Doskonalenia Nauczycieli Instytutu Kształcenia Nauczycieli w Warszawie. Całe rzesze pracowników oświaty podnoszą tam swe kwalifikacje, zdobywają uprawnienia zawodowe, osiągają stopnie specjalizacji. IKN — idąc z duchem czasu — prowadzi kursy komputerowe i informatyczne, studium socjoterapii i terapii pedagogicznej, gimnastykę leczniczą i korekcyjną. W porozumieniu z kuratoriami organizowane jest kształcenie kadry kierowniczej placówek oświatowych, opiekunów szkolnych organizacji młodzieżowych, początkujących nauczycieli. Brak jest kształcenia krajoznawców. Brak również w

chwili obecnej możliwości uzyskiwania stopni specjalizacji z pracy ze szkolnym kołem turystyczno-krajoznawczym PTTK analogicznie do szkolnych kół PCK, TPPR, ZHP czy innych. Powiało więc optymizmem, kiedy drugiego dnia obrad metodycy krajoznawstwa i turystyki szkolnej dostali, od dyrektora Departamentu Wychowania i Edukacji Pozaszkolnej Ministerstwa Edukacji Narodowej „Program kursu specjalistycznego dla nauczycieli o kierunku krajoznawstwo” zatwierdzony do realizacji w bieżącym (tj. 1987/88) roku szkolnym. Działaczom turystycznym wręczono zaś, starannie w sześciu egzemplarzach powielone, „Tezy do referatu na temat: Kształcenie, doksztalcanie i doskonalenie kadr dla edukacji krajoznawczo-turystycznej młodzieży szkolnej”. Wróciło przygnębienie, kiedy następnego dnia metodycy stwierdzili, że treść tez do referatu znają z konferencji i sejmików sprzed lat, a o „Programie kursu specjalistycznego” dowiadują się po raz pierwszy w Uniejowie, w końcu kwietnia 1988 r., bowiem żaden ODN w Polsce nie dostał ani programu, ani zaleceń do jego realizacji. Tymczasem — co warto wiedzieć — nauczyciel po tym kursie uzyskuje uprawnienia

do prowadzenia biwaków, obozów i wycieczek oraz pełnienia funkcji kierownika na kursach dla młodzieży. Najważniejsze jednak to to, że uprawnienia nauczyciela krajoznawcy równoznaczne są z: — instruktorem krajoznawstwa PPTK; — organizatorem turystyki PTTK; — kierownikiem wycieczek i obozów wędrownych (uprawnienia te nadawane były przez resort Oświaty i Wychowania przed 1983 r., potem zostały — wraz z wszelkimi formami szkolenia — skasowane). Uprawnienia te stwarzają określone szanse wynagradzania i stanowią wreszcie o randze nauczyciela-krajoznawcy. Cóż z tego, kiedy wysiłek i doświadczenie pomysłodawców nie jest poparte konkretnym zaleceniem ministerstwa, a kursoria, metodycy krajoznawstwa i ODN-y nie przeprowadzają diagnoz potrzeb i rekrutacji słuchaczy, nie mówiąc o skompletowaniu odpowiedniej kadry wykładowców. Zatem — co jest grane? Jeszcze jedno pozornie zielone światło, a może kolejne kłamstwo? Więc jaka jest naprawdę ranga krajoznawstwa i turystyki w dydaktyce i wychowaniu, w cywilizowaniu wolnego czasu, w profilaktyce społecznej i zdrowotnej? To dalszy ciąg pesymistycznej retoryki, stawianie

pytań bez nadziei na odpowiedź. W „Programie” jest jednak taka odpowiedź. Cytuję: „kurs na uprawnienia „nauczyciel-krajoznawca” zaliczany jest jako jedna z form doskonalenia przy ubieganiu się o I stopień specjalizacji zawodowej...”. I tu rodzynek (cytuję dalej): z — kultury fizycznej” (!!!).

Więc może i lepiej, że kształcenie nauczycieli-krajoznawców nie ruszyło dotąd z miejsca. Jest bowiem czas, aby odpowiednie osoby w ministerstwie doczytały się w pracach profeso-

rów Znanieckiego, Suchodolskiego, Kamińskiego czy Okonia, czym jest krajoznawstwo i czym powinna stać się turystyka w programie dydaktyczno-wychowawczym państwowej, socjalistycznej szkoły powszechnej, w wychowaniu dla przyszłości i pokoju.

maj 1988

Zbigniew Lipowski

W łódzkim PTTK. Wspomnienia z l. 1952-58

Do napisania niniejszych wspomnień naklonił mnie m. in. udział w obchodach trzydziściu lat działalności PTTK na terenie Łodzi, jakie miały miejsce w 1986 r. Wydawało mi się wówczas, że autor głównego referatu wygłoszonego podczas obchodów, Władysław Manduk, miał trudności ze zgromadzeniem odpowiedniego materiału dla zobrazowania dziejów łódzkiego PTTK w latach pięćdziesiątych, a więc w tych latach, kiedy to ja właśnie, w jakimś tam niewielkim zakresie, udzielałem się w pracach różnych agend łódzkich tej organizacji. Pomyślałem, że może te wspomnienia pozwolą ocalić od zapomnienia ten, czy ów szczegół, że ułatwią w ten sposób pracę przyszłym dziejopisom łódzkiego PTTK.

Od sierpnia 1950 r. do września 1957 r. pracowałem w Łodzi w Wojewódzkim Archiwum Państwowym i moją działalność turystyczno-krajoznawczą zaczynałem razem z kolegami z Archiwum. Zanim jednak do opowiadania o tym przystąpię chciałbym wspomnieć skąd się moje zainteresowania krajoznawstwem i turystyką w ogóle wzięły. Korzeniami swymi te zainteresowania sięgają także Łodzi, jeszcze sprzed II wojny światowej. Chodziłem wówczas tu do gimnazjum Aleksiego Zimowskiego, którego dzieje przypominał niedawno na łamach „Wędrownika” Jan Zimowski (nr I—II z 1986 r.). Moim nauczycielem był wspaniały wychowawca młodzieży i zamiłowany krajoznawca Teofil Kutra (zob. wspomnienie o nim w „Wędrowniku” nr I/283 z 1983 r.), który dla uczniów starszych klas co roku organizował wycieczki w różne regiony kraju. Były to wycieczki kolejną, zawsze jednak połączone z przejściami pieszo. Z nim poznałem w jednej

wycieczce Kalisz, Gołuchów, Poznań, Gniezno, Inowrocław i Kruszwicę, w innej region świętokrzyski, w jeszcze innej Kraków i Wieliczkę. Ale te szkolne wycieczki to jeszcze nie wszystko, co od Zimowskiego wyniosłem. W gimnazjum działała pręcznie 23 drużyna harcerska im. płk. Lisa Kuli pod kierunkiem najpierw Stefana Kępczyńskiego, sędziego sądu okręgowego w Łodzi, a następnie nauczyciela Stanisława Lisińskiego, (poległ we wrześniu 1939 r.). Z tą drużyną wędrowałem na obozy nad Strwiąż do Berech Dolnych (w 1936 r.), na skraj Borów Tucholskich do Ieśniczówki Twardy Dół koło Zblewa (w 1937 r.), do Berezowa koło Kosmacza u stóp Czarnohory (w 1938 r.) i wreszcie nad Jezioro Trockie w pobliżu Wilna (w 1939 r.). Harcerstwu, które wyrabiało także nawyk krótszych, niedzielnych wycieczek (pamiętam takie pod wodzą zastępowego Henryka Kisiela — później w Polsce Ludowej ministra Skarbu i wicepremiera — do Łęczycy i do Strykowa) zawdzięczam bodaj więcej w zakresie wychowania turystycznego niż samej szkole.

Nie mogę też nie wspomnieć o pewnych tradycjach rodzinnych. Moja matka (Twardowska z domu) razem ze swymi rodzicami jeździła jeszcze przed pierwszą wojną światową przez szereg lat ze Lwowa do Poronina. Z jej to opowiadań i pozólkłych fotografii poznawałem jako zupełne dziecko — Tatry.

Warunki rodzinne nie pozwoliły mi na uprawianie turystyki w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej — moich latach studenckich najpierw w Łodzi, później w Toruniu. Sytuacja zmieniła się na początku lat pięćdziesiątych, właśnie wówczas, kiedy rozpocząłem pracę w



Z SALI OBRAD

fol. Grzegorz Jastrzębowski

Archiwum Państwowym w Łodzi, na początku w starym gmachu fabrycznym przy ul. Żwirki 5, następnie w gmachach byłego Archiwum Miejskiego Plac Wolności 1 i Plac Wolności 14. Państwową służbę archiwalną wówczas rozbudowywano. Do Archiwum w Łodzi przyjęto do pracy około 1950 r. wielu młodych ludzi. Moimi kolegami byli m.in.: Czesława Ohryzko (później Włodarska), Halina Wiśniewska (później Bieniek), Alojza Łyszkowska (później Żebrowska), Julia Wasiak, Mieczysław Bandurka, Ireneusz Ilnatowicz, Mieczysław Kołodziejczak. Ochotników do wędrowania nie brakowało. Zachowana po dzień dzisiejszy w Archiwum dokumentacja pozwala stwierdzić, że pierwsze wspólne wycieczki zaczęliśmy organizować w 1953 r. Bodaj pierwszą była kilkudniowa wyprawa koleją, ale i pieszo, do Torunia, Inowrocławia, Strzelna i Kruszwicy. W tym samym roku zrobiliśmy jednodniowy wypad, pieszo z Bratoszewic, do słynnych wówczas ze strojów łowickich Mąkolice i Woli Mąkolskiej.

Byłem już wówczas członkiem PTTK (od 31 VII 1952 r.) i po tym pomyślnym początku namówiłem kolegów do założenia Koła PTTK przy Archiwum. Stało się to tym łatwiejsze, że ówczesny dyrektor Archiwum, Roman Kaczmarek, był starym działaczem jeszcze Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a udzielał się też w pracach łódzkiego Oddziału i Okręgu PTTK. Koło powołano do życia formalnie z dniem 31 XII 1953 r., a do pierwszego zarządu wybrano mnie, Krystynę Fijałek i Halinę Wiśniewską. W dwa lata później Krystynę Fijałek zastąpił Mirosław Cygański. Ustąpiłem z zarządu w 1956 r. w przewidywanym przeniesieniu się do Torunia. Kierownictwo Koła przejął wówczas Mirosław Cygański, a towarzyszyli mu w zarządzie Anna Czajka i Zdzisław Konicki. Koło nie było zbyt liczne. W dniu założenia miało 13 członków, a później niewiele więcej niż 20. Do Koła należeli pracownicy Archiwum i ich rodziny. Niekiedy także osoby zaprzyjaźnione. Do takich należał znany księgarz łódzki Jan Gierańczyk, wieloletni kierownik księgarni „Pegaz” przy ulicy Piotrkowskiej 47.

Mimo szczupłej liczby członków Koło rozwijało ożywioną działalność. Najbardziej ulubioną formą wycieczek były kilkuosobowe wyprawy, jedno lub kilkudniowe, w bliższe i dalsze okolice Łodzi. I tak w 1954 r. jeździliśmy i chodziliśmy do Łęczycy (z Ozorkowa przez Czerchów), do Oporowa, do Płocka i Włocławka (między tymi miastami statkiem po Wiśle), do Warszawy. W 1955 r. — do Kazimierza Dolnego i Rado-

mia. W 1956 r. — na trasie Grudziądz — Nowe — Kwidzyn — Gniew — Pelplin — Tczew — Malbork. Po pewnym czasie odważyłem się poprowadzić kilkuosobowe grupy w góry. W 1955 r. (9—12 VI) przeszliśmy z Rabki przez Turbacz (z noclegiem w bacówce na krańcu Hali Długiej) — Lubań — Czorsztyn — Niedzicę — Prehybę (z noclegiem w tymczasowym schronie) — do Rytra. W 1956 r. wybraliśmy się (31 V—31 VI) z Huciska na Babią, a następnie do Zubrzycy, na Policę i do Osiełca.

W góry chodzili też członkowie Koła w mniejszych, dwuosobowych zespołach. W 1954 r. piszący te słowa z Janem Gierańczykiem zrobił trasę: Łapczyca — Wiśnicz — Czchów — Tęgorozę — Stary Sącz, a po podjeździe do Rabki, z tego uzdrowiska jednego dnia (!!!) do Krościenka i dalej — po odpoczynku — przez Rytro do Krynicy. W 1956 r. ta sama dwójka przeszła z Klimczoka przez Baranią, Boraczą, Miziówą do Korbielowa. Inna zaś dwuosobowa grupa, Julia Wasiak i Alojza Łyszkowska, obezła Kotlinę Kłodzką.

Rzadziej organizowaliśmy objazdy autokarowe dla większej liczby osób. Ale i takie bywały: na ziemię rawską (13 VI 1954 r.), do Piotrkowa Tryb. i w jego okolice (19 IX 1954 r.), do Kalisza (28 VIII 1955 r.).

Na lata pięćdziesiąte przypadł rozkwit rajdów organizowanych licznie przez różne ognia łódzkiego PTTK, rajdów nizinnych i w górach. Nasze maleńkie Koło przy Archiwum brało żywy w nich udział. Najczęściej były to rajdy po ziemi łódzkiej. Po raz pierwszy — Koło wystawiło wówczas 2 drużyny po 5 osób każda — pokazaliśmy się na rajdzie okręgowym w lipcu 1954 r. na trasie Aleksandrów — Bełdów — Dalików — Poddębice. Pamiętam, że składaliśmy wówczas hołd powstańcom z 1863 r. na ich grobach w Dalikowie, a odpowiedni tekst odczytał starszy już wówczas pracownik naszego Archiwum — dr Stefan Rosiak. W 1955 r. braliśmy udział w 3 rajdach pieszych nizinnych: w okręgowym rajdzie dzie nad Pilicą na trasie Wykno — Spała — Tomaszów — Barkowice — Piotrków, zorganizowanym świetnie przez Teodora Zieglera, który tylko pogody nie potrafił zapewnić należytej (4—5 VI); w rajdzie oddziału łódzkiego na trasie Łask — Kolumna — Pabianice (24—25 IX) i w okręgowym rajdzie nocnym na trasie Śwędów — Lućmierz (22—23 X). Z kolei w 1956 r. wyruszyliśmy na rajd skierniewicki na trasę Bednary — Nieborów (do dziś wspominam bardzo zimną noc w stodole) — Bolimów — Skierniewice (26—27 V). W tym też roku odważyliśmy

się wziąć udział w ogólnopolskim rajdzie pieszym na Kaszubach: Golubie — Kartuzy — Sopot (4—8 VII).

Równie popularne były rajdy górskie, mianowicie w stosunkowo bliskie Góry Świętokrzyskie. W 1955 r. Koło wystawiło 2 drużyny na wiosenny rajd na trasę Nowa Słupia — Łysogóry — Bodzentyn — Starachowice (30 IV—1 V). W 1957 r. jedna drużyna wędrowała w podobnym rajdzie na trasie Zagnańsk — Bobrza — Hucisko — Strawczyn — Piekoszów — Kielce (28 IV—1 V). Wielkim wydarzeniem był udział 3 członków Koła w 1956 r. w 22-osobowej delegacji łódzian na zlot turystów czeskich i słowackich w Podbańskiej, w Tatrach Zachodnich (26—29 IX), z przejściem przez Kasprowy do Cichej a z powrotem Koprową, przez Zawory i Liliowe też na Kasprowy (uruchomiono tam wówczas specjalnie na okres zlotu przejście graniczne). Sprawozdanie z tej wyprawy ukazało się na łamach „Głosu Robotniczego”, a swojego rodzaju pamiątniczek z niej znajduje się w posiadaniu piszącego te słowa.

Wycieczki własne Koła prowadziłem najczęściej sam i sam je przygotowywałem. Inaczej już było z wyprawami na rajdy. Wiedli je inni koledzy, ja bowiem byłem często zatrudniany przy samej organizacji rajdów przez komisje turystyki pieszej lub górskiej, oddziałową lub okręgową. Dostępnym szybko bowiem rozwinęła się moja współpraca z różnymi ogniwami PTTK łódzkiego na szczeblu oddziału, a zwłaszcza okręgu. Ślady jej muszą do tej pory tkwić w odpowiednich aktach. Niestety dokumentacja aktowa z owych lat, jeżeli się zachowała, nie jest dziś dostępna i to, co o tej współpracy dalej napiszę, opiera się już wyłącznie na moich wspomnieniach.

Działalność, dosyć ożywiona, Koła przy Archiwum zwróciła nań szybko uwagę Oddziału. Następstwem tego był wybór mojej osoby do zarządu Oddziału za prezesury kol. Ryszarda Sienkiewicza. Pamiętam, że wówczas o coś tam z prezesem wojowaliśmy i nawet wielu członków zarządu chciało poddać się do dymisji. Przedmiotu sporu jednak nie pamiętam. Mój kontakt z Oddziałem na innej płaszczyźnie również nie był szczęśliwy. Kiedyś Biuro Oddziału prosiło mnie o poprowadzenie wycieczki nauczycieli po województwie, zamówionej przez ZNP. PTTK miało dostarczyć nie tylko autokar i przewodnika, ale i zapewnić całodzienne wyżywienie. Przez niedopatrzenie miłego skądinąd kolegi Feliksa Brysia restauracja w Sulejowie nie przygotowała kolacji. Ba — w spiżarni brak było w ogóle godziwych zapasów. Pamiętam, że ostatecznie

znalazł się jakiś tłusty boczek, który pomagałem kroić na porcje nielicznemu personelowi, by uczestnicy wycieczki nie musieli zbyt długo czekać. Ale i tak nie uniknęliśmy przykrych uwag.

Na prowadzenie wycieczki przygotowywanej przez Biuro Oddziału nigdy odtąd nie dałem się namówić.

Bliżej, i to na różnych płaszczyznach, współpracowałem z władzami Okręgu. W ogóle znacznie lepiej czułem się zawsze w lokalu przy Piotrkowskiej 102a niż w lokalu na rogu Piotrkowskiej i Traugutta. Poznałem wówczas grono „górali” skupionych wokół Komisji Turystyki Górskiej (granice między komisją oddziałową i okręgową były wówczas de facto dosyć płynne — działacze obu komisji stanowili właściwie jeden aktyw), m.in. Władysława Manduka, Czesława Beyera, Kazimierza Hempla, później także Waldemara Dońca. Brałem udział w wyprawach letnich w Tatry organizowanych przez Genowefę Lichocińską i Tadeusza Bojanowskiego. Były one prawdziwą szkołą turystyki wysokogórskiej. W 1955 r. przeszedłem z nimi Tatry Polskie, od Chochołowskiej do Morskiego Oka. Punktem zbornym w Zakopanem było stare schronisko im. Stolarczyka, a pierwsze wejście — na Giewont zlebem Kirkora. Szczególnie utkwiło mi z tej wyprawy piękne przejście od Gładkiej Przełęczy Liptowskimi Murami — aż po Wrota Chałubińskiego. Wyprawa w Tatry Słowackie w roku następnym zaczęła się od zwiedzenia Jaskiń Bielskich i przejścia z Jaworzyny przez Lodową Przełęcz do Tatrzańskiej Łomnicy. Ze Smokowca, po fatalnym noclegu w nie istniejącej już dziś ogromnej „noclaharni”, wchodziliśmy na Gerlach schodząc z kolei na nocleg do Wyżnich Hag. Wracaliśmy ze Szczyrbskiego przez Żelazne Wrota w fatalnej pogodzie (cały czas w deszczu). Szefami grup wycieczkowych na tych wyprawach bywali Zdzisław Braun i Władysław Holcman, a uczestniczyli w nich m.in. Janka Górka (później Bojanowska), Zula Apanańska z siostrą Adą Potocką, małżeństwo Ostojkich, Henryk Klimkiewicz i (w wyprawie tylko po stronie polskiej) Leon Hendzel z żoną. Nauczyły mnie te wyprawy wiele, a z wieloma ich uczestnikami połączyły mnie więzi wieloletniej przyjaźni.

Miałem też okazję współpracować przy organizowaniu słynnych wiosennych rajdów świętokrzyskich. Brałem udział w obsłudze poszczególnych tras — najczęściej z Haliną Maksajdą. W 1958 r., mimo, że już wówczas od kilku miesięcy pracowałem w Toruniu, prowadziłem na rajdzie własną trasę słabo uczęszczanym Pas-

mem Małogoskim (startowaliśmy z małej stacji Ludynia na linii drogi żelaznej Częstochowa — Kielce). W roku następnym, na prośbę łódzkich kolegów, przy ognisku rajdowym w Św. Katarzynie (skrzyżowanie kilku tras) wygłosiłem gawędę „Co się kiedyś na Łysej Górze działo” — tekst ukazał się potem w „Turyście” pt. „Legenda z Łysej Góry” (nr 12 z 1959 r., s. 13).

Jako bardzo udane imprezy wspominam też zloty. W czerwcu 1957 r. pomagałem przy organizacji zlotu w dzikich jeszcze, nie połączonych asfaltówką z resztą kraju, Rzekach w Gorcach. Jeszcze w 1958 r. wybrałem się z Torunia na zlot w dolinie Danielki w Beskidzie Żywieckim, uświetniony obecnością aktorów studenckiego teatryku „Pstrąg” z Łodzi. Z pierwszym z tych zlotów łączę się zabawny epizod. Władysław Manduk podążył na miejsce zlotu z Nowego Targu. Zabrał też ze sobą dwóch spóźnionych członków drużyny z Archiwum Państwowego. Cała trójka (przy nie najgorszej pogodzie) szczęśliwie weszła na Turbacz, ale w dalszej wędrówce znalazła się zamiast w Rzekach — Łopusznej!!! Do Rzek niefortunni turyści dotarli dopiero następnego dnia, korzystając z publicznych środków lokomocji, przez Chabówkę i Mszanę Dolną.

Rajdy świętokrzyskie, a później i zloty, przyczyniły się do powstania i aktywizacji środowiska „górali” w Łodzi, stały się też podłożem rozwoju w następnych latach także osobnej działalności klubowej w zakresie turystyki górskiej.

Na szczeblu władz Okręgu przyszło mi też współdziałać z Okręgową Komisją Ochrony Zabytków. Nie pamiętam, w którym to już roku mój szef w Archiwum, Roman Kaczmarek, wezwał mnie do siebie i zwrócił się do mnie mniej więcej w ten sposób: „Słuchaj — ja nie mogę w tym PTTK wszystkim się zajmować — weź kierownictwo Komisji Ochrony Zabytku w naszym Okręgu”. Rad nie rad podjąłem się prowadzenia Komisji. Jej organizacja znajdowała się dopiero w powijakach. Nie miałem wielkich doświadczeń w tego rodzaju pracy, ale spotkałem się z jednej strony z dużym zrozumieniem dla potrzeb Komisji, przez ówczesnego sekretarza Zarządu Okręgu Jerzego Pyrkosza, z drugiej — z pomocą wojewódzkiego konserwatora zabytków, Zbigniewa Cieklińskiego. Toteż jakoś tam Komisja zaczęła działać. Udało się stworzyć sieć społecznych opiekunów zabytków — za moich czasów było to kilkanaście osób w całym województwie, udało się nawet doprowadzić do pierwszego ich zjazdu w Łodzi. W gronie tych opiekunów znalazło się wielu ciekawych ludzi,

także o nastawieniu prawdziwie społecznikowskim dawnego typu. Pamiętam doskonale wśród nich Zofię Neuman z Sieradza, Jadwigę Grodzką z Łęczycy, Jerzego Dunin-Borkowskiego z Krośniewic, Włodzimierza Rudzia z Tomaszowa Mazowieckiego (tego znałem już wcześniej, jako kierownika Powiatowego Archiwum Państwowego w Tomaszowie). Pamiętam też, że sporządziłem wówczas dla potrzeb Komisji, w oparciu o świeżo wydany „Katalog zabytków sztuki”, mapę zabytków architektury województwa łódzkiego (mapa ta wisiała potem długo w lokalu władz Okręgu przy Piotrkowskiej 102a). Zapoczątkowałem też zbieranie dokumentacji fotograficznej zabytków. W 1956 lub 1957 r. przekazałem Komisję, memu starszemu koledze w Archiwum, dr. Stefanowi Rosiakowi.

Podczas pobytu w Łodzi wypadło mi też współpracować ze znakomitym krajoznawcą Edmundem Jarzyńskim. Zbliżyło mnie do niego jego pochodzenie lwowskie (moja matka, jak wspominałem, była Lwowianką), byłem zresztą zaprzyjaźniony także z jego córką Ireną (znaną w Łodzi historykiem sztuki) i jej mężem Czesławem Popławskim. Z Jarzyńskim chodziliśmy czasem razem na wspólne, niedzielne wycieczki w okolice Łodzi. Później, kiedy zaczął wychodzić „Biuletyn Łódzkiego Okręgu PTTK”, spotykaliśmy się często na posiedzeniach komitetu redakcyjnego. Była to bardzo miła współpraca.

W sumie działalność w PTTK pochłaniała mi sporo czasu. Wiązała się ta działalność oczywiście najściślej z moimi zainteresowaniami, ale myślę, że kryło się w tym coś więcej. Były to przecież lata bardzo trudne. Własne uprawianie turystyki, organizowanie turystyki innym, zajmowanie się krajoznawstwem — wszystko to było w pewnej mierze także wynikiem potrzeby ucieczki od smutnej wówczas rzeczywistości politycznej. Mnie osobiście łódzkie „petetekowskie” lata dały wiele pod różnymi względami: z jednej strony ułatwiły dalsze poznawanie kraju, poznanie gór polskich i słowackich, rozbudziły do tych gór uczucie, któremu pozostałem do dziś wierny; z drugiej nauczyły działać, zrobiły ze mnie w jakimś tam stopniu „działacza”. Z doświadczeń łódzkich korzystałem potem w pracy w PTTK na terenie Torunia i gdzie indziej. Sądzę jednak, że i ja jakąś część siebie, własnego trudu, łódzkiemu PTTK zostawiłem.

Pozostały zadzierżgnięte więzy osobiste z wieloma kolegami. I zawsze, w późniejszych wędrówkach turystycznych, najmilej mi było spotykać kolegów łódzian na szlakach nizinnych czy górskich. Doskonale pamiętam i miło wspomina-

nam wieczór w Wetlinie przy ognisku i herbacie z kociołką z „wujciem” Aleksandrem Siemiradzkim w 1965 r., czy spotkanie w marszu z Wysowej do Krynicy Henryka Klimkiewicza w 1981, czy choćby odwiedziny łódzkiej bazy namiotowej w Małych Pieninach w 1987 r. Bo krajoznawstwo

i turystyka mają między innymi i tę cechę pozytywną, że zbliżają ludzi.

Andrzej Tomczak

Moje wspomnienia z Tatr Słowackich sprzed 31 lat

Wśród miłośników Tatr wczesną wiosną 1956 roku zapanowała radość. Wreszcie po 17 latach rządu PRL i CSR (wtedy tak jeszcze brzmiał skrót nazwy naszych sąsiadów z południa) podpisały konwencję turystyczną na rejon Tatr Wysokich. Znowu będzie można robić wycieczki na Łodowy, Łomnicę (choćby tylko kolejką), Sławkowski, Kieżmarski itd. Co bardziej zapalczywi wyciągnęli bardzo stare mapy, przewodniki sprzed wojny i zaczęli układać trasy wycieczek.

Młodemu pokoleniu należy się wyjaśnienie, że pierwszy po wojnie przewodnik w języku polskim po Tatrach Słowackich ukazał się w 1958 roku, a mapa „Tatry i Pieniny” w latach 1959—60 Wspaniałe mapy Tatr Zwolińskiego wydane przed wojną posiadali bardzo nieliczni. W latach pięćdziesiątych władze wydały nawet nakaz oddawania tych map ze względu na ich bardzo dużą dokładność i tym samym tajemnicę państwową.

Wraz z ojcem Zbigniewem (znany działacz PTTK na niwie ochrony zabytków) już w kwietniu, a może nawet w marcu, mieliśmy opracowany plan wycieczek w Tatry na sierpień. Na marginesie chciałbym nadmienić, że ojciec znał sprzed wojny doskonale Słowackie Tatry, co ułatwiło nam znacznie zaplanowanie wycieczek.

Warto tu także wspomnieć o przepisach konwencyjnych. Do przejścia uprawniała przepustka jednorazowa (ze zdjęciem) wydawana tylko przez KMMO w Zakopanem na podstawie Karty turystycznej, wydawanej przez Wojewódzkie Komitety Turystyki, do których trzeba było składać prawie że ankietę paszportową popartą przez PTTK. Po otrzymaniu przepustki trzeba było odstąpić swoje w kolejce w NBP w Zakopanem, po korony i czekać podróżnicze. Maksymalny czas pobytu w Tatrach Słowackich wynosił 6 dni. Dostawało się 25 koron dziennie na osobę.

Konwencja obejmowała tylko Słowackie Tatry Wysokie i granica jej biegła wzdłuż Drogi Wolności (Cesta Svobody) do Szczyrbskiego Jeziora

i kończyła się w Podbańskiej. Ustalono przejścia na Łysej Polanie, Rysach, Przełęcz Miękusowieckiej pod Chłopkiem, Wrotach Chałubińskiego i Kasprowym Wierchu. Niestety te wysokogórskie przejścia nigdy nie zostały uruchomione, a czynne było jedynie przejście na Łysej Polanie, co spowodowało dość duży przepływ handlujących turystów (już wtedy byli), którzy psuli prawdziwym turystom opinię u miejscowej ludności.

Naszą wycieczkę zaplanowaliśmy oczywiście na sześć dni a plan jej był następujący:

— I dzień — Łysa Polana — Zadne Koperszady — Przełęcz pod Kopą — Dolina Keżmarska — Dolina Zielonego Stawu Keżmarskiego — nocleg w Branclovej Chacie;

II dzień — Branclova Chata — Rakuska Czuba — Skalne Pleso (jeżeli będzie możliwość wyjazd kolejką na Łomnicę — oczywiście z powodu braku biletów nie doszedł do skutku) — schronisko Kamzik (Pod Kozicą), które obecnie już nie istnieje, spłonęło w latach osiemdziesiątych;

— III dzień — z Kamzika do schroniska Tery'ego w Dolinie Pięciu Stawów Spiskich (Dolina Zimnej Wody) z tym, że ja miałem „zrobić” Łodowy i wrócić do Kamzika na nocleg;

— IV dzień — zwiedzanie Tatrzańkiej Łomnicy, Starego Smokowca — Szczyrbskiego Jeziora i powrót przez Osterwę Dolną Batorywiecką i Dolinę Wielicką do Kamzika;

— V dzień — wyjazd kolejką elektryczną do Szczyrbskiego Jeziora — Rysy;

— VI dzień — Dolina Staroleśna — Zbójnicka Chata — Rohatka — Dolina Białej Wody — Łysa Polana.

Wycieczka była zaplanowana w „starym stylu”, bardzo intensywna i maksymalnie wykorzystująca każdy dzień pobytu w Słowacji.

Urlopy, jak zawsze, spędzaliśmy w sierpniu w Zakopanem i widząc ustalającą się pogodę określiliśmy termin wyruszenia na „wyrpę”. Po

odstaniu kilku godzin w KMMO i banku wykupiliśmy bilet do Łysej Polany i następnego dnia wyruszyliśmy na wycieczkę.

Autobusy na Łysą Polanę kursowały jeszcze „starą” drogą do Morskiego Oka przez Capowski Las, Poroniec. Była ona w tych latach w opłakanym stanie. Po przeszło godzinnej jeździe przybyliśmy na Łysą Polanę. W tym czasie nie było tam takiego przejścia jakie jest dzisiaj. Odprawa celna i paszportowa po stronie polskiej odbywała się na ganku drewnianego budynku Urzędu Celnego (stoi do dziś), a następnie przechodziło się przez most na Białce i ponownie odprawiało się na ganku czeskosłowackiego Urzędu Celnego. Odprawa była stosunkowo liberalna dla pieszych turystów, natomiast mocno „trzepano” (i dobrze) wycieczki autobusowe.

Po stracie około półtorej godziny byliśmy wreszcie w wymarzonych Tatrach Słowackich. I znowu dla wiadomości młodego pokolenia trzeba dodać małe wyjaśnienie. W latach pięćdziesiątych nie można było indywidualnie chodzić na szczyty, przez które biegła granica państwowa np. na Świnicę, Czerwone Wierchy były wejścia tylko dla wycieczek zbiorowych. A Słowackie Tatry były odległe jak Himalaje. Można więc łatwo zrozumieć, jak ruch turystyczny indywidualny „dusił się” w naszej części Tatr.

Po odprawie celnej ruszyliśmy w „trasę”. Drogą do wylotu Doliny Jaworowej, gdzie rzut oka

na lewą stronę na Pałacyk Myśliwski (rezydencja tatrzańska prezydenta Czechosłowacji) i po godzinie weszliśmy w gęsty las u wylotu Doliny Jaworowej. Znowu prawie godzinny marsz lasem i oto wylania się pełna słońca i polnych kwiatów Gałajdowa Polana. Dalej idziemy podziwiając olbrzymie tatrzańskie z otoczenia Doliny Jaworowej i Tatr Bielskich i po dwóch godzinach marszu osiągamy Przełęcz pod Kopą.

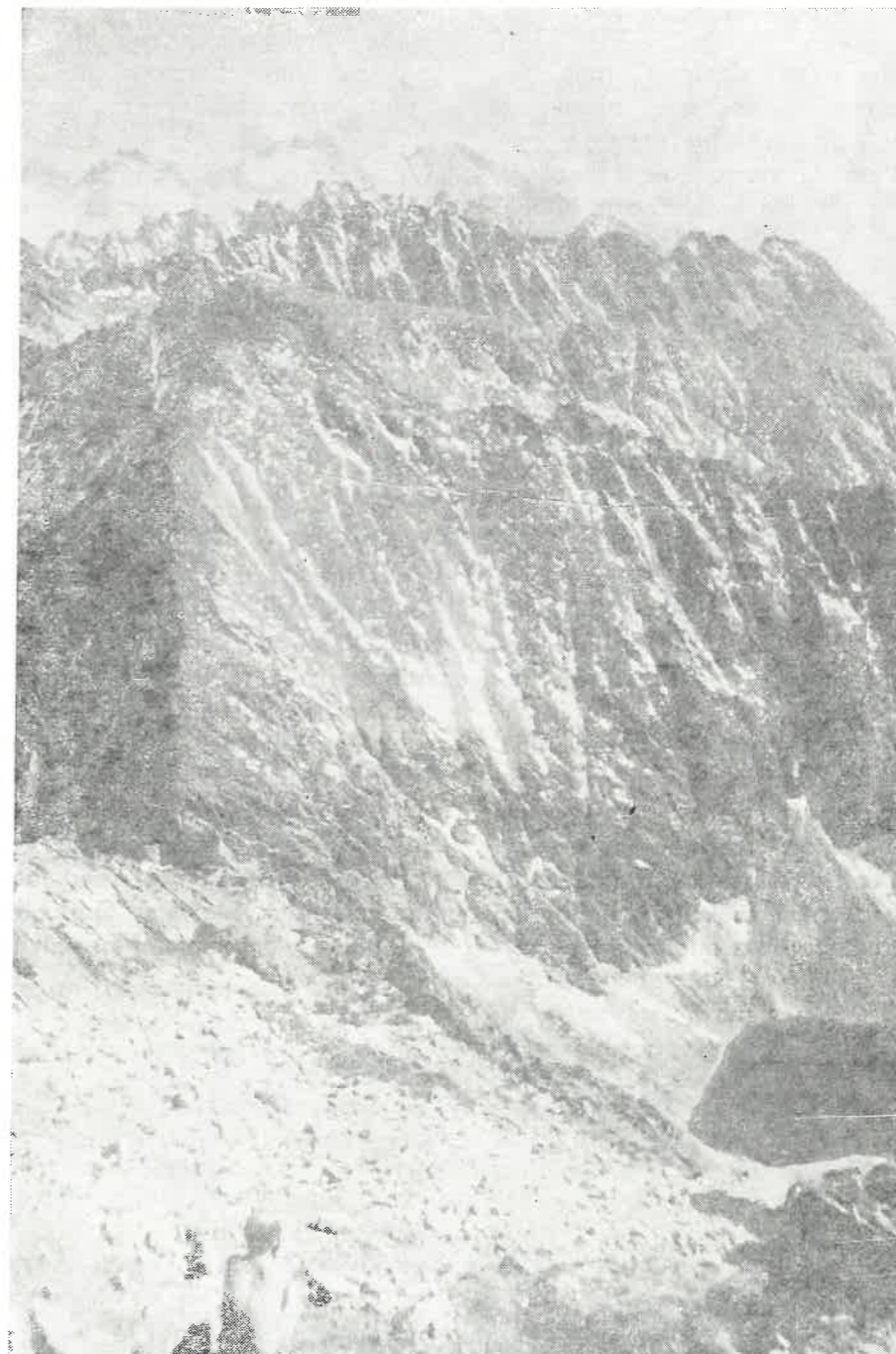
Marsz nasłonecznioną doliną był żmudny. Niosło się plecaki z żywnością na sześć dni, odzież, buty, kocher. Było w tym na pewno dużo staroświecczyny, ale jakże uroczej. Dziś, gdy chodzę po Tatrach, widzę ludzi nawet w wysokich partiach gór ubranych jak na spacer po Antałówce. Z „teżką w oku” wspominam stare dzieje.

Mieliśmy sporo żywności przygotowanej przez matkę, która mimo swoich 58 lat brała udział w tej wyrzynie i dzielnie się spisywała. Było wtedy pewnego rodzaju sprawą honoru, aby jak najmniej kupować w schroniskach, co w stosunku do słowackich schronisk było nietaktem. Schroniska słowackie mają wynajęte jadalnie. Słowackiemu PSS-owi gość, który prosi jedynie o wrzątek, był niemile widziany. Aby nie być gołosłownym przytoczę, co przydarzyło mi się w następnych latach w schronisku Tery’ego. Otóż, gdy przyszedłem tam około godz. 16 prosząc o nocleg, gdyż następnego dnia rano chciałem



GRAN BASZT I GRAN SÓLISK ZE STOKÓW KRYWANIA

fol. Przemysław Jędraski



WIDOK Z KRYWANIA NA WSCHÓD (W GŁĘBI GERLACH I WYSOKA)

fol. Przemysław Jędraski

przez Przełęcz Jaworową wracać do Polski, otrzymałem standardową odpowiedź „nie ma” i poinformowano mnie, że w jadalni spać nie wolno. Powiedziałem „trudno” i zamówiłem obiad. Około godz. 16 chatar podszedł do mnie i powiedział że jest nocleg ale kosztuje 10 koron.

Nie muszę pisać, jak bardzo się z tego ucieszyłem.

Wracajmy jednak do wycieczki. Z Przełęczy pod Kopą zeszedliśmy ukwieconą i załaną słońcem

Doliną Kežmarską mijając schronisko, które zresztą było zamknięte dla indywidualnych turystów. W schronisku tym prowadzone były wczasy i kursy alpinistyczne (spłonęło ono w latach osiemdziesiątych). Idąc dalej osiągnęliśmy Dolinę Zielonego Stawu Kežmarskiego z przeuroczym schroniskiem Brančlova Chata. Schronisko położone jest nad Zielonym Stawem, nad którym wznosi się majestatycznie Jastrzębia Turnia. Samo otoczenie stawu wywołuje zachwyty nad

pięknem i grozą, szczególnie w czasie zmroku wylaniających się szczytów Keżmarskiego, Kołowego, Baranich Rogów i Łomnicy.

Po prznocowaniu w sali zbiorowej, rano, po śniadaniu gotowanym na kocherze, ruszyliśmy na Rakuską Czubę i po trzech godzinach osiągnęliśmy Skalne Pleso ze stacją kolejki linowej, w budynku której mieści się hotel Encian. Obok stacji jest prawdziwie wysokogórskie schronisko — Skalna chata. Teren obok schroniska — zaśmiecony, a Skalne Pleso wysychające. Niedaleko stacji położone jest obserwatorium astronomiczne.

Po krótkim odpoczynku zaczęliśmy schodzić ścieżką o typie „ceprostrady” do Doliny Zimnej Wody. Minęliśmy u wylotu doliny schronisko Kapitana Nalepy (również zamknięte dla indywidualnych turystów) i po dwóch godzinach osiągnęliśmy Kamzik, w którym też noclegów nie było. Ale tu chatar pozwolił nam po 21 zsunąć ławki i spać do rana. To spanie na ławkach było naszą bazą przez cztery noce, ale oczywiście dościliśmy koce i poduszki.

Po złożeniu bagaży ruszyłem na Hrebieniok, gdzie kolejką taką jak na Gubałówkę zjechałem do Smokowca. Pierwszym moim zakupem były pocztówki i arbuzy, który wtedy w Polsce był rzadkością. Smokowiec roił się od tłumu Polaków usiłujących sprzedać czekoladę, gumę do żucia, spirytus. Drugiego dnia udaliśmy się wszy-



PANORAMA TATR Z KAMIENISTEJ

fol. Przemysław Jędraski

scy do Tatrzańskiej Łomnicy i Smokowca, a potem pojechaliśmy do Szczyrbskiego Plesa, oczywiście kolejką elektryczną. Miejscowości te miały zupełnie inny charakter niż nasze Zakopane. Przede wszystkim ówczesna baza hotelowa była jeszcze z czasów tzw. węgierskich, to jest sprzed I wojny światowej. Południowi sąsiedzi stawiali przede wszystkim na wczasy i turystykę zbiorową. Turysta indywidualny był rzadkością. Sklepy, tzw. „ROH”, były o wiele lepiej zaopatrzone we wszelkiego rodzaju drobiazgi. Był tam też kolosalny wybór butów, które były masowo wykupywane przez Polaków. Rzuciła się w oczy duża ilość samochodów prywatnych, choć niektóre „Skody” i „Tatry” przypominały, że jeździły jeszcze w latach dwudziestych.

Po dotarciu do Szczyrbskiego Jeziora, po którym jeszcze w tym czasie pływały łódki i kajaki, poszliśmy do Chaty Kapitana Morawki nad Popradzkim Jezioro. Odnosiło się wrażenie, że Słowacy w ogóle w tym czasie nie dbają o schroniska i w ogóle nie są przygotowani do obsługi tak dużego ruchu turystycznego, szczególnie po otwarciu granicy z Polską.

Po zwiedzeniu symbolicznego cmentarza pod Ostewą i wejściu na Ostewę ujrzeliśmy przepiękną Dolinę Batyżowiecką ze słynnym Kościółkiem, gdzie zginął przed laty Stanisławski z towarzyszymi. Majestat Garłucha urzekł swym pięknem i ogromem. Marzeniem każdego tury-

sty jest zdobycie Garłucha — wchodząc Próbą Wielicką, a schodząc Próbą Batyżowiecką.

Wtedy w TNP można było chodzić nie tylko po znakowanych ścieżkach. Większość najciekawszych szczytów miała szlaki turystyczne nie znakowane. Ścieżki wyznaczone były kopczykami, które „odstraszały” początkujących turystów i były w zasadzie dostępne tylko dla bardziej wprawnych. Takie szlaki wiodły na Lodowy, Baranią Przełęcz, Keżmarski.

Następnie pomaszzerowaliśmy stokami Garłucha i Doliną Wielicką ze słynnym Śląskim Dolem — też w remoncie. Dolina ta wraz ze Stawami Wielickimi jest pełna uroku. Wspaniała jest ścieżka na Polski Grzebień i Małą Wysoką przez Ogród Wahlenberga.

Zmrok już zapadał, gdy przez Hrebieniok dotarliśmy do naszej bazy w Kamziku. W tym czasie koło Kamzika widniały ruiny, ale jeszcze z dachem, tzw. Domku Ramera, pierwszego schroniska w Tatrach Słowackich.

Rano niestety pogoda uległa pogorszeniu i w tym sezonie trzeba było spisać Lodowy na straty. Pomimo pogody postanowiliśmy osiągnąć chociaż schronisko Tery'ego. Monotonna droga dnem Doliny Zimnej Wody prowadziła nas do jednego z najpiękniej położonych schronisk, otoczonego masywami Baranich Rogów, Lodowego, Pośredniej Grani, mających charakter typowo wysokogórski. Schronisko jest bardzo miłe i przy-



PANORAMA TATR WYSOKICH Z BUCZYNOWYCH TURNI

fol. Przemysław Jędraski

tulne, przebywają w nim już w zasadzie prawdziwi turyści.

Po posiłku i ostatnim rzucie oka na Lodowy z żalem wracamy do Kamzika, mijając po drodze tragarza, który codziennie przynosi ze Smokowca żywność do schroniska.

Następnego dnia udaję się kolejką ze Smokowca do Szczyrbskiego Jeziora. Droga na Rysy poprzez schronisko pod Wagą, najwyższe położone w Tatrach, jest wygodna i spacerowa prawie. Dopiero od schroniska nabiera charakteru typowo wysokogórskiego. Droga jest bardzo urozmaicona i ciekawa widokowo. Wspaniałe wysokogórskie widoki roztaczają się na Dolinę Żłomisk, Żelazne Wrota, Miękusowieckie, Hińczową i groźną Dolinę Czeską. Ze szczytu Rysów roztacza się jeden z najpiękniejszych widoków w Tatrach. Na szczycie znajduje się tablica poświęcona W. I. Leninowi, który w czasie pobytu w Poroninie był między innymi na Rysach. Prześliczny widok jest na Czarny Staw, Morskie Oko i schronisko oraz na prawie całe polskie Tatry. W sierpniowym słońcu obraz ten pozostawia niezatarte wrażenia.

Po zejściu paru kroków ze szczytu rozkoszuję się widokiem na Dolinę Czeską z jej stawem owianym wieloma legendami, szybko schodzę „ceprostradą” i po dwu i pół godzinie jestem na stacji kolejki elektrycznej przy Szczyrbskim Jeziorze. Nadjeżdża trzywagonowa kolejka, której wagony przypominają trochę nasze dawne

łódzkie tramwaje do Tuszyńa i Ozorkowa. W czasie jazdy podziwiam rozciągające się piękne widoki na skalisty łańcuch ciągnący się od Szczyrbskiego Plesa do Łomnicy.

Po przeszło godzinnej jeździe wysiadam w Smokowcu, kolejką jadę na Hrebienok i po piętnastu minutach marszu spotykam się z rodzicami w Kamziku. Ze smakiem zjadam obfitą kolację z produktów przywiezionych z Polski, wypijam duży kufel piwa i kładę się wreszcie spać. Jutro wracamy do Polski.

Rano budzimy się wcześniej i po rannej toalecie, wraz z goleniem w zimnym potoku, i śniadaniu wyruszamy w drogę do Polski. Idziemy ku Zbójnickiej Chacie, która w przedwojennych kręgach taternickich miała niezbyt sympatyczną nazwę „trupiarni” i była w latach trzydziestych niezagospodarowana.

Po wyjściu z lasu zachwycamy się panoramą tej pięknej doliny. W pięknym słońcu sierpniowym osiągamy stawy w Dolinie Staroleśnej, gdzie od czasu do czasu rozlega się świst. To świstaki dają znać o sobie. Można je było zresztą obserwować jak czujnie siedzą na głazach prawie że przy ścieżce.

Później jeszcze parokrotnie byłem w Dolinie Staroleśnej, ale już nie widziałem i nie słyszałem świstaków. Wyparła je cywilizacja.

Wreszcie docieramy do schroniska. Z wyżywienia nie korzystamy, wysyłamy tylko kilka ostatnich kartek do znajomych i wyruszamy w drogę

na Rohatkę. Droga ta jest żmudna ponieważ idzie się piargiem. Pod Rohatką spożywamy ostatni posiłek w Słowackich Tatrach. Osiągamy przełęcz i znów mamy piękny widok na Dolinę Białej Wody i Gałuch (szczyt był w chmurze).

Zejscie z Rohatki zabezpieczone jest łańcuchami, miejscami nieco eksponowane. Po zejściu z Rohatki trawersujemy zbocze Małej Wyi i dochodzimy do ścieżki z Polskiego Grzebienia, następnie wzdłuż Zmarzłego Stawu, który rzeczywiście jest pokryty prawie całym śniegiem i lodem, schodzimy do Białej Wody.

Dość intensywnie tracimy wysokość. Po pewnym czasie mijamy wylot Doliny Kaczej skąd rozciąga się przed nami widok na Galerię Gankową, która pochłonęła sporo ofiar. Po trzech godzinach jesteśmy na Polanie pod Wysoką, gdzie znajdują się jeszcze resztki schroniska, które spłonęło w latach dwudziestych. Idziemy dalej, już przy zapadającym zmroku, do Łysej Polany.

„Wyrupa” ma się ku końcowi. Czeką nas prawie dwie i pół godziny marszu Doliną Białej Wody. Po pewnym czasie słychać już samochody na szosie do Morskiego Oka.

Około godziny 20 wychodzimy przy Czeskim Urzędzie Celnym na Łysej Polanie. Już nie słychać gwaru turystów. Widzimy tylko kilku celników i pograniczników zbierających się na ostatni autobus do Zdziaru. Prosimy ich o odprawę. Widząc, że granicę przekraczaliśmy nie handlowo, lecz turystycznie, odprawiano nas

krótko i już za chwilę mijaliśmy most na Białce. W polskim Urzędzie odprawa trwała tak samo krótko i już za chwilę siedzieliśmy w ostatnim autobusie idącym z Łysej Polany do Zakopanego.

Pierwsza powojenna wyprawa za granicę dobiegła końca. Jeszcze godzinę jazdy autobusem i wysiadamy na Bystrym; już za parę minut jesteśmy w swojej kwaterze na Antałówce. Za rok

pójdziemy znowu w Słowackie Tatry, ale to już nie będzie taka wspaniała „wyrupa”.

Piotr Ciekliński

Kronika Oddziałów PTTK w Łodzi

Oddział Łódzki im. J. Czeraszewicza

24.01.88 — Rajd Wyzwolenia — kierownik — Zenon Hofman

28.02.88 — Rajd Szlakiem Powstania Styczniowego „Dobra 88” — kierownicy — Tatiana Górka i Dariusz Sienny

19—22.05.88 — Rajd „Łysogóry — Wiosna 88” — kierownik — Grzegorz Ulman

28—31.05.88 — Rajd „Prehyba” — kierownik — Jerzy Gasek

25—29.05.88 — Rajd „Roztocze 88” — kierownik — Piotr Małachowski

8—12.06.88 — Rajd „Kotlina Kłodzka I etap” — kierownik — Stanisław Wołodkiewicz
lipiec 1988 — Obóz wędrowny w Bieszczadach — kierownik — Maria Więciorska.

★ W końcu maja Klub Turystów Górskich „Kosówka” obchodził 30-lecie na tygodniowym zlocie klubowym w „Andrzejówce”. Centralne uroczystości miały miejsce 1.06.88 r. w Książu koło Wałbrzycha.

★ Instruktorzy Klubu „Szarotka” wzięli udział w kilku wyjazdach wspinaczkowych w Tatry i Skałki Jurajskie.

★ Wyremontowano S/Y „Nike”.

★ W I połowie kwietnia podczas Dnia Olimpijczyka w Szkole Podstawowej nr 19 odbyły się pokazy sprzętu nurkowego Klubu „Tryton”.

★ 8 i 9.04.88 odbyły się eliminacje oddziałowe XVI Ogólnopolskiego Młodzieżowego Turnieju Turystyczno-Krajoznawczego PTTK.

★ 23.06.88 — zakończenie egzaminem Mł-

dzieżowego Studium Krajoznawczo-turystycznego.
★ egzaminem praktycznym na Zalewie Sulejowskim zakończyło się szkolenie na stopnie żeglarzy i sternika jachtowego.

Oddział Akademicki

19—20.02.88 — VII Nocny Rajd Tramwajowy — kierownik — Krzysztof Urtnowski

8—17.02.88 — Obóz narciarski w Chopoku w CSRS — kierownik — Jerzy Świerczyński

3—6.03.88 — X Rajd Narciarski w Gorcach — kierownik — Marek Wiśniewski

5—6.03.88 — „Express narty” w Zieleńcu — kierownik — Maciej Szpądrowski

1—10.04.88 — Obóz narciarski w Zakopanem — kierownik Paweł Granicki

5—10.04.88 — Obóz baczkowy w Gorcach i Beskidzie Sądeckim — kierownik Joanna Kowalska

8—10.04.88 — Topienie Marzanny — kierownik — Przemysław Wiśniewski

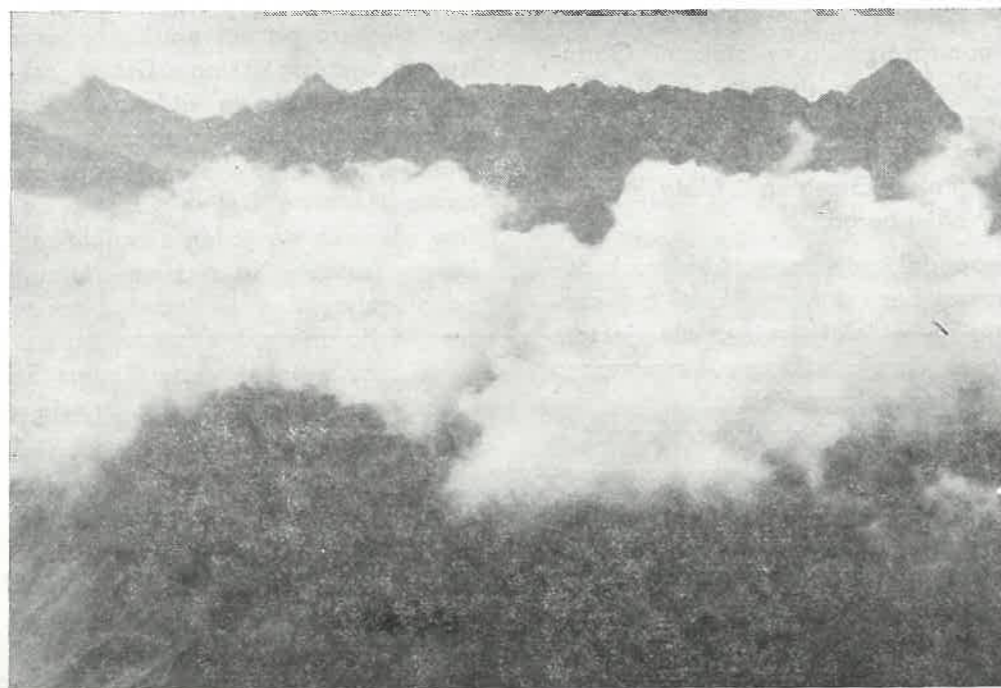
13—15.05.88 — Wiosenne pieczenie barana — kierownik — Piotr Olejnik

12—15.05.88 — VII Rajd Wiosenny w Beskidzie Niskim — kierownik — Dariusz Borowiecki

9—12.06.88 — Splyw Kajakowy po rzece Santocznej — kierownik — Piotr Kantor

4—5.06.88 — Noc Kupały — kierownik — Cezary Dach

★ Od 1 lipca przez całe wakacje działały bazy namiotowe, które służyły wszystkim turystom. Po raz szósty działała w sezonie letnim baza w Jaworkach, natomiast baza w Muszynie w tym roku zaingurowała swoją działalność.



GRAN HRUBEGO I KRYWAŃ Z KOZIEGO WIERCHU

fol. Przemysław Jędraski

Odeszli od nas

Michał Druri



9 grudnia 1987 roku z grona łódzkich przewodników odszedł na zawsze Kolega Michał Druri. Przewodnik, którego trudno zapomnieć. Pan Michał miał bowiem niepowtarzalny styl i urok osobisty. Wysoki, przystojny, zawsze pogodny, życzliwy. Bardzo lubił oprowadzać wycieczki zarówno po Łodzi jak i Kaliszu, Płocku, Żelazowej Woli, Arkadii, Łowiczu. Z jednakową przyjemnością pokazywał zabytki i przyrodę dzieciom i dorosłym, turystom polskim i zagranicznym. Mając uprawnienia oprowadzania wycieczek w języku rosyjskim Pan Michał prowadził bardzo dużo grup ze Związku Radzieckiego. Znany był niemal wszystkim kierowcom autokarów radzieckich przyjeżdżającym do Polski i cieszył się ich wielką sympatią za świetną znajomość języka, kulturę i poczucie humoru. Gdy nie On oprowadzał ich grupy, zaraz wspominali Go i prosili o przekazanie Mu pozdrowień.

Oprócz przekazywania wiadomości o swoim mieście i regionie, Pan Michał, potrafił stworzyć w autokarze miłą, przyjacielską atmosferę, która na zawsze zostaje we wspomnieniach. I dlatego dla wielu zagranicznych turystów z Polską kojarzy się postać Pana Michała, który przede wszystkim kochał ludzi, góry i otaczający Go świat.

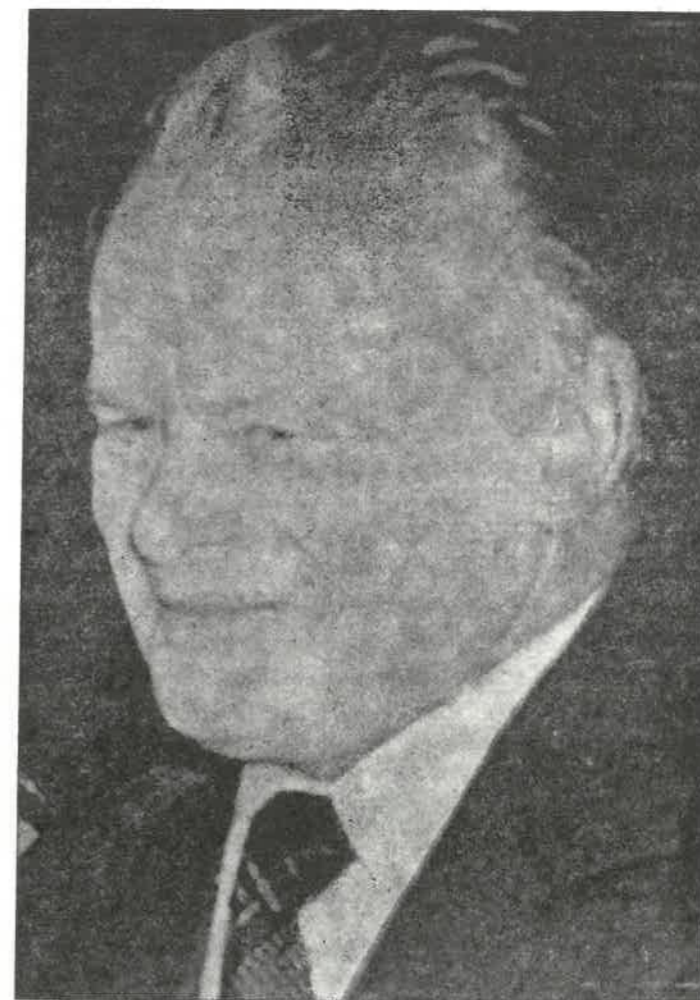
Był dobrym kolegą. W Kole Przewodników pomagał wszystkim młodszym stażem kolegom, których zabierał na swoje wycieczki rosyjskie, żeby pokazać specyfikę pracy z grupami zagranicznymi, pożyczał książki, foldery, swoje opracowania tras. Na Pana Michała zawsze można było liczyć. Założył dla przewodników oprowadzających wycieczki w języku rosyjskim „Przedszkole pod samowarem”, którego spotkania odbywały się w Jego mieszkaniu lub w różnych miejscach w Łodzi, które pokazuje się wycieczkom.

Pan Michał nie znosił nieuczciwości, nierzetelności, egoizmu. Niemal do ostatnich dni życia uczestniczył aktywnie w zebraniach Koła Przewodników, jeździł na wszystkie wycieczki szkoleniowe. W 1985 r., z okazji 80-tych urodzin, Koło Przewodników uhonorowało wieloletnią pracę Pana Michała spotkaniem i koncertem w wykonaniu znanych artystów Teatru Wielkiego w sali koncertowej Muzeum Historii Miasta Łodzi. Wśród wielu gości byli: przedstawiciele władz, biur podróży, koledzy z różnych komisji i klubów PTTK.

Pan Michał urodził się w 1903 r. Był farmaceutą, pracował w łódzkim Cefarmie. Przy Zarządzie Aptek założył Koło PTTK. Miał uprawnienia przewodnickie miejskie i terenowe, przewodnickie GOT i OTP. Pełnił szereg funkcji społecznych w PTTK, m.in. był przewodniczącym Komisji Turystyki Pieszej przy Zarządzie Oddziału, członkiem Zarządu Oddziału Łódź-Polesie (należał do założycieli tego oddziału), przewodniczącym Komisji Rewizyjnej przy Kole Przewodników. Kolega Michał Druri odznaczony był m.in. Krzyżem Walecznych, Medalem za obronę Warszawy, Krzyżem Partyzanckim, Honorową Odznaką m. Łodzi, Złotą Honorową Odznaką PTTK, Złotą Odznaką TPPR, Złotą Odznaką „Ochrony zabytków”.

Anna Pilarska

Wacław Krawczyk



W dniu 13 grudnia 1987 r. zmarł po krótkiej chorobie **Profesor WACŁAW KRAWCZYK**.

Urodził się w dniu 26 czerwca 1915 r. w Dobiecinie koło Grójca. Z Łodzią związał się w 1945 r., tu kończył studia geograficzne i rozpoczął pracę pedagogiczną. Pracował w kilku szkołach, a w 1957 r. objął stanowisko nauczyciela geografii w VIII Liceum Ogólnokształcącym im. Adama Asnyka. Wówczas też został opiekunem koła krajoznawczego zorganizowanego wcześniej przez prof. Teofila Katre.

W 1957 r. wstąpił do PTTK. Pełnił wiele funkcji społecznych w komisjach Oddziału Łódzkiego, Okręgu i Zarządu Wojewódzkiego oraz w Oddziale Nauczycielskim PTTK. Szczególne zasługi położył przy organizowaniu młodzieżowych grup Społecznych Opiekunów Zabytków — VIII LO przez całe lata przodowało w tej działalno-

ści. Profesor do końca swych dni był aktywnym Społecznym Opiekunem Zabytków, Instruktorem Opieki nad Zabytkami, członkiem prezydium Oddziałowej i Wojewódzkiej Komisji Opieki nad Zabytkami.

W 1965 r. uzyskał uprawnienia Przewodnika Turystyki Pieszej, a w 1975 r. mianowany został Honorowym Przewodnikiem TP. Od 1965 r. był nieprzerwanie członkiem Okręgowej i Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej PTTK, przez kilka ostatnich lat zajmując się niezwykle sumiennie weryfikacją OTP.

Przez wiele lat, od początku istnienia imprezy, przygotowywał drużyny szkolne do udziału w Ogólnopolskim Młodzieżowym Turnieju Turystyczno-Krajoznawczym. Umiał tak zachęcić i zainteresować młodzież, tak ją przygotować, że przez kilkanaście lat „na Ósemkę nie było mocnych”

— Jego drużyna zwyciężała w eliminacjach wojewódzkich, zajmowała w finałach czołowe miejsca, a w 1975 r. — pierwsze miejsce w kraju. Młodzież przygotowywana przez Profesora brała udział w obsłudze i organizacji rajdów Świętokrzyskich, Jurajskich, rajdów na raty i innych. Przez pewien czas była to jedyna szkoła uczestnicząca w tego rodzaju pracach. Spod ręki Profesora Krawczyka wyszło wielu wspaniałych turystów, społeczników, działaczy naszego Towarzystwa, którzy swe doświadczenie zdobywali podczas niezliczonych wycieczek, rajdów, prelekcji i w czasie codziennego obcowania z Nim.

Profesor odznaczony był wieloma odznaczeniami: Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką „Zasłużony Działacz Turystyki”, Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”, Złotą Honorową Odznaką PTTK, Honorową Odznaką Miasta Łodzi, Złotą Odznaką PTSM (był aktywnym działaczem PTSM, członkiem władz wojewódzkich tej organizacji przez kilkanaście lat,

zorganizował pierwsze w Łodzi Szkolne Koło PTSM), Złotą Odznaką „Za Opiekę nad Zabytkami”, Złotą Odznaką Polskiego Towarzystwa Geograficznego i wieloma innymi.

Nie odznaczenia jednak, nie ilość zorganizowanych imprez turystycznych, nie ilość zweryfikowanych odznak stanowią o trwałej pamięci, jaką zostawił po sobie. Jego niezwykła osobowość, wielka kultura osobista, skromność, wrażliwość, wybitny talent pedagogiczny, pasja społecznikowska sprawiają, że Jego odejście nappełniło szczerym smutkiem nie tylko szeregi Jego wychowanków, ale wszystkich, którzy Go znali, którzy mieli przyjemność i zaszczyt z Nim współpracować. Jest to bolesna strata dla naszego Towarzystwa, dla którego Profesor tyle zrobił i tyle jeszcze mógł zrobić. Pamięć o Nim, Jego zasługach i Jego życzliwym uśmiechu będzie wśród nas.

Koleżanki i Koledzy

Redakcja i Drukarnia przepraszają Czytelników i Autora zdjęcia zamieszczonego na stronie 35 za wydrukowanie odwróconej ilustracji.

